W rocznicę pierwszego zjazdu pisarzy chłopskich

Cena 7 zł.

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III — Łódź, 11 sierpnia 1946 r. — Nr 31 (59)

Józef Pogan

Mòj życiorys

Urodziłem się dnia 30 stycznia, 1905 roku, w ubogiej wiosce Jerzmanowice, opodal malowniczego Ojcowa. Rodzice moi posiadali 6 morgów lichej ziemi. Byli pracowici i zabiegliwi, lecz mimo to w naszym domu gnieździła się dokuczliwa bieda. Pamiętam ją doskonale: żadne dziecko gdzieś do ósmego roku życia jeszcze nie miało butów. Niby nie były nam potrzebne, bo latem hasaliśmy boso, a w zimie, jeśli nogi marzły na ubitej ziemi w izbie — właziło się za piec. Gdy które z dzieci przeziębiło się i kasłało, matka dawała mu wypić łyżkę nafty.

Sypialiśmy zbitą masą w łóżkach jak śledzie w beczce; na jednym rodzice, w środku między nimi małe dziecko, a jedno w poprzek łóżka, (w nogach), na drugim też czworo. Z biegiem czasu, gdy dzieci przybyło, brała je matka do siebie na łóżko, a większe sypiały za piecem.

Jadaliśmy to, co w każdym domu: na śniadanie jałowy żur z ziemniakami lub kluski jęczmienne z żarnowej mąki, na obiad jak popadło: czasem po kawałeczku „klepaczka z blachy;, a czasem kapuste; na kolację niemal zawsze bywała wodzianka.

Rodzice byli bardzo pobożni jak wszyscy ludzie we wsi. W każdą niedzielę, a często i w dzień powszedni chodzili do kościoła. Ojciec umiał trochę czytać, wszak uczył się w szkole rosyjskiej przez jedną zimę, więc w każde rano śpiewał z matką godzinki, a w niedzielę także różaniec. Większe dzieci też musiały śpiewać z nimi.

Sąsiedzi szanowali mego ojca i schodzili się doń na pogwarki. Jeszcze dziś szumią mi w uszach te „kumoterskie" pogwarki. Najczęściej rozmawiali o gospodarstwie, o koniach i krowach, lub obmawiali niezaradnych czy niedbałych gospodarzy. Czasem poruszali polityczne tematy: o Rosji, o carze Mikołaju, czy o walce i mękach powstańców. Wspominali, jak to w zamku pod Piaskową Skałą koło Ojcowa Rosjanie oblegli broniących się powstańców, podpalili zamek, a żołnierze w przerażeniu skakali z wieży w przepaść sto łokci w dół. Babka moja opowiadała często, jak to jej ojciec był we dworze karbowym za pańszczyzny i co rano wychodził na szczyt pagórka nade wsią i wołał donośnie: „Wychodź! Wychodź!". Kto się spóźnił do pracy, sprowadzano go do dworu na „baty" a w domu jego zalewano ogień na kominku i tłuczono garnki.

O Rosji dobrze się wyrażali, że ich uwolniła z pańszczyzny i oddała im ziemie na własność. Jednak zawsze mawiali, i święcie w to wierzyli, że „przed końcem świata Polska musi być wolną, bo tak jest w opisach".

Opowiastek chłopskich zawsze rad słuchałem, natomiast nie cierpiałem babskich plotek o boginkach, jędżach, czarownicach, diabłach, pokutujących duszach, bo lękałem się tych okropności; opowiadały też jak to przed końcem świata będzie jeździł z żelaznym piecem po ziemi Antychryst i kto mu się nie podda, będzie go palił żywcem.

Tak w naszym domu jako też i u sąsiadów wszystkie dzieci wiedziały dobrze jakie diabeł ma zęby, rogi, ślepia, ogon, co to jest stra szydło z czerwonymi zębami, a co z ogniem w pysku. Każde nadejście wieczora przeszywało nas lękiem. W nocy dziecko nie wyszło do sieni. Nawet i we śnie nie było się spokojnym, bo ileż to razy budziłem się wylękły, że mię diabeł bierze na widły, czy też czarownica bije miotłą.

Front rosyjsko - austriacki w roku 1914, a następnie okupacja austriacka wielce zaniepokoiły wieśniaków. Wszyscy żałowali „Moskali", a przeklinali „Madziarów". Ci rzeczywiście znęcali sie nad nimi: zabierali konie, krowy, zboże, konfiskowali żarna i t.p. Jednej nocy żandarm zbił niemiłosiernie mego ojca za to, że nie pojechał na podwodę.

W roku 1916 pewien półinteligent wiejski, A. Derejski założył prywatną szkołe i zabrał się do nauczania dzieci za niewielką opłatą. Rodzice moi wielce się tym uradowali i natychmiast starszego brata i mnie posłali na naukę, byśmy się chociaż nauczyli czytać na książce do modlitwy. Z kupnem elementarza i butów było sporo kłopotu. Ojciec z matką pokłócili się o to i pobili. Wreszcie zdecydowali się kupić mi buty (starszy brat już miał) i jeden elementarz dla nas obu.

Nasz nauczyciel udawał wielkiego pana i każde dziecko, nawet wchodząc po pauzie do klasy — musiało mu się w „pas" kłaniać. Za najmniejsze przewinienie bił w „łapę" deszczułką specjalnie na to u stolarza zrobioną. Po takiej „łapie" dłoń była spuchnięta parę dni. Więc baliśmy się nauczyciela, grzecznie się zachowywali i z konieczności pilnie się uczyli. Ja należałem do najlepszych uczniów i już po dwu miesiącach czytałem dobrze wiersz:

„Boże wspieraj, Boże ochroń, nam cesarza i nasz kraj"...

Po każdej lekcji śpiewaliśmy „Boże Ojcze, Twoje dzieci".

Gdy byłem w trzecim oddziale, Polska odzyskała wolność. Uczyliśmy się wtedy w szkole rządowej. Nauczyciel, syn chłopa, niedoszły ksiądz, uczył nas dobrze. Dzieci kochały go, lecz starsi, po prostu nienawidzili: gdyż był socjalistą i z księdzem nie żył przyjaźnie. Ksiądz co niedziela z ambony rzucał gromy na „bezbożnych" socjalistów. Jakkolwiek nauczyciel miał trochę zwolenników, lecz na ogół wierzono księdzu, a niebawem wyraz „socjalista" stał się wielce obraźliwym przezwiskiem.

W życiu wieśniaków zaczął się pewien odruch: Stare „historyjki" poszły w niepamięć, a wytworzyły się nowe: Gospodarze nie mówili już o Moskalach, o carze, tylko o Wilsonie, Piłsudskim, Paderewskim i Witosie. Kobiety też przestały pleść o diabełkach, a ich uwaga skupiła się w okół socjalizmu, czy też mąki amerykańskiej, sadła, cukru i t.p. Powstał wyraźny zwrot w zainteresowaniu wieśniaków, co niebawem wytworzyło podział na „mądralów — polityków", „zacofanych — starowierów" i „świetoszków". (Nie biorę tu pod uwagę ciągłego dysonansu między zamożniejszymi i biedakami). „Świetoszki" cieszyli się pewnym szacunkiem ogółu, gdyż do nich należeli też w znacznej części poważni „mądrale". Szacunku tego nie poderwał nawet taki wypadek, jak kradzież obrazu z kościoła przez jednego z członków Bractwa Różańcowego. Ogół usprawiedliwiał go tym, że w czasie pożaru domu spaliły mu się też obrazy, więc musiał mieć w nowym domu obraz, by miał do czego się modlić.

Ojciec mój choć był „świętoszkiem", lecz interesował się też sprawami społeczno-politycznymi. Dla nauczyciela miał dużo sympatii, lecz potępiał socjalizm, bo bał się grzechu. Z mych dobrych postępów w szkole wielce się radował, a zwłaszcza tym, że go już sołtys w podatku, ani handlarz w kupnie nie oszukają. Za radą nauczyciela miał zamiar posłać mię do piątego oddziału szkoły w innej wsi. Lecz przypadek sprawił, że i czwartego oddziału nie ukończyłem. Było to tak: fornal ze dworu innej wioski jadąc do miasta po zakup nasion warzywnych, wstąpił po drodze do mego ojca. Po chwilowej rozmowie ojciec zapytał go o cel wyjazdu do miasta.

— Dokładnie nie wiem — odrzekł fornal — bo rządca napisał mi kartkę co mam kupić.

— My tu zaraz się dowiemy, ino Józka zawołam — odparł ojciec, bo on dobry pismok.

Zawołał mię, fornal podał kartkę i kazali mi czytać. Pismo było bardzo niewyraźne, że mało który wyraz wystękałem. Fornal zaczął się śmiać i drwić: — Chwaliliście się, że on taki pismak, a on widać nic nie umie.

— Bo tak nauczyciel gada, że mój Józek dobrze się uczy.

— Wy ino wierzcie takiemu ciarachowi — tłumaczył fornal — On was rozmyślnie buja, bo widzi że trafił na głupca, co mu da zarobić za prywatne nauczanie.

Sprzeczali się chwilę, lecz ojcu brakowało przekonywujących argumentów, natomiast dla fornala wystarczyło, że „przechwalony" Józek głupiej kartki nie przeczytał.

Po odjeździe fornala matka wszczęła z ojcem kłótnie, która skończyła sie „dogrochotaniem po łbie pyskatej babie". Za wszystko odcierpiałem ja. Ojciec „wygarbował mi skórę" za kiepską naukę, matka „zmłóciła" miotłą, bo nie dość że „tyle pieniędzy wlazło na moją szkolę, to jeszcze przeze mnie dostała od ojca". Postanowili nie posyłać mię już do szkoły. Starszy brat bił mię często i dokuczał: — Przechwalony pismak, a ani słówka nie przeczytał. Ty znasz, ale „be" na gnoju... Inne dzieci rodzice też mało posyłali do szkoły. Jak już umiały przeczytać książkę do modlitwy — wystarczyło. Matka mawiała: — Panami przecie nie będą, to po cóż tracić na naukę? Do pługa, kosy, cepa i wideł nie trza być uczonym. Moja matka zawsze gadała, że kto się zna w piśmie, to się najpierw do piekła wciśnie. Naprzykład nauczyciel: że uczony, to walczy z księdzem i z Bogiem.

Ja mimo dokuczań rodziców i starszego brata, czytałem szkolne książki w polu „za krowami". Czasem też wydostawałem z chlebowego pieca spleśniałą książkę religijną, pod tytułem „Cuda Boże". Opisy w niej pozagrobowego życia przejmowały mię lękiem, więc stawałem się pobożnym i pilnie przestrzegałem praktyk religijnych. Do kościoła coraz częściej chodziłem.

Rówieśnicy dokuczali mi, przezywali, więc ich na razie unikałem. Ale po pewnym czasie zacząłem z nimi towarzyszyć i przestałem czytać. Zresztą i czasu do czytania nie było wiele, bo dorastające dziecko rodzice pędzili do pracy, a gdy jej brakło w domu, trzeba było iść na zarobek do zamożniejszych gospodarzy lub z garnkiem do lasu na borówki. I to często o głodzie, bo aby wyżywić ośmioro dzieci, „trza by cheba wszyćko z pola na siecke zeżnąć". Czasem matka „wzdychała se" boleśnie nad przemęczeniem i głodem dzieci, ale ojciec zaraz jej wyperswadował, że „dziecko — to nie prosie czy ciele i nie rośnie na pieniądze, to cegóż sie tak tropić o niego? I tak na nim straty nie bedzie, choć bedzie troche lichse".

Na domiar złego do naszej chaty zawitał jeszcze „bocian". Starszy brat złościł się o to i ubliżał rodzicom. Jako osiemnastoletni chłystek, zaczynał już „mądrować" i uczyć rodziców życia. Ojciec bił go o to, wypędzał z domu, matka często broniła, więc w domu wrzało stale jak w kotle. U sąsiadów i w ogóle w całej wsi też było podobnie, bo młodzież w owym czasie ogromnie się demoralizowała. Przyczyną tego był zdaje się duży odpływ młodych chłopaków ze wsi do pracy w kopalniach Zagłębia Dąbrowskiego i ci po pewnym czasie stawali się „mądrymi". Co niedziela przyjeżdżali do wsi, pili wódkę, strzelali z dynamitu, wyśmiewali się z wiejskich „chamów, co tylko umieją nachować dzieci i rączki składać w kościele". Przedrzeźniali mówiących gwarą, a najbardziej starszych.

Od „Dąbrowian" zarazili się niektórzy chłopacy uczyli się mówić po „pańsku", drwili

Do Czytelników

Cieszy nas, że możemy zawiadomić krąg naszych czytelników o tym, iż z dniem 1-go lipca 1946 roku Związek Samopomocy Chłopskiej staje się naszym wydawcą. Pismo nasze od dwóch już lat wysunięte na pierwsze pozycje walki o kulturę wsi, znajduje w ten sposób społeczno-gospodarczą, nowoczesną bazę oparcia.

Upływa rok, jak powstał Oddział Wiejski Związku Zawodowego Literatów Polskich. Jest to fakt o dużej doniosłości dla polskiej kultury ógólno-narodowej, gdyż nakłada on na pisarzy chłopskich surowe zobowiązanie.

Mają się oni stać awangardą wsi: mają organizować jej nowoczesną świadomość, wydobyć ją z kulturalnego zapóźnienia, wybrać z niej wszystko to, co cenne i zdrowe, potępić to, co tę wieś dzięki dawnym systemom wychowawczym zatrzymywało, robiło społecznie i gospodarczo bierną i wsteczną. Literaci ludowi mają właśnie pokazać warstwę chłopską w jej „dobrym" i „złym", aby wykazać, że to „złe" jest uwarunkowane h i s t o r y c z n i e, że było produktem s y s t e m u, a więc jest rzeczą do u s u n i ę c i a, do n a p r a w y. Winni pokazać, że nie tylko słomiana strzecha jest naszym polskim rezerwatem, bawiącym przejeżdżającego Europejczyka, ale także jest wiele jeszcze w „duszy chłopskiej" z tej słomianej rezerwatowości, coś, czym chyba nie należy się szczycić wobec Europy, jak tego chcą niektórzy ideolodzy kulturowi. Pokazać zło i warunki do jego usunięcia, to właśnie p o m ó c warstwie chłopskiej do wyjścia z „pierwotności".

Czy chłop tego potrzebuje? Tak! Bo chłop dziś nie chce być nadal murzynem, któremu wystarcza dżungla i szałas. Chłop zawsze w najlepszej części swojej inteligencji pragnął wejścia w kulturę. Dziś ten chłop szeroko rozejrzał się po Europie, zobaczył, że ludzie z jego środowiska inaczej pracują i inaczej żyją; chce on również żyć jak oni. Dawniej tłumiono te jego „zalążkowe" aspiracje. Dziś Polska ma mu otworzyć szeroko wszystkie zatrzaśnięte dawniej szczelnie przed nim drzwi. Pisarze chłopscy będą mu w tym dzielnie dopomagali.

Od dwóch lat grupują się oni na łamach „Wsi". Pismo nasze skupia ich jak najszerszy wachlarz.

Wieś jako baza najszersza, jej awangarda kulturalna — literaci, i najpotężniejsza chłopska nowoczesna instytucja — Z. S. Chł. — oto nowe powiązanie wewnątrz dzisiejszej, świadomie awansującej, warstwy chłopskiej. Fakt ten niech zobowiąże na swój sposób wszystkich działaczy wiejskich, by tygodnik „Wieś" pragnący dać odbicie tego, co w tym nowym układzie się dokonuje, mianowicie: proces wejścia zapóźnionej warstwy w kulturę ogólnonarodową i cywilizację nowoczesną — dotarła do jak najszerszego kręgu czytelników wiejskich.

z gwary, zaś na hulanki i pijatykę wynosili z domu rodziców zboże i ziemniaki.

Chłopakj dzielili się jakby na dwa obozy: jeden „morusów", a drugi „niedołęgów". „Morusów" szanowały dziewczyny, kochały się w nich, a z niedołęgów drwiły i unikały ich. „Morusy" byli niemal plagą wsi: rozpędzali zabawy, gości weselnych, przebijali nożami niewinnych, wybijali szyby u okien, rozburzali płoty itp. wyprawiali „harce". Zdarzały się też wypadki podpalenia domów. Jeden podpalacz J. N. konając wypowiedział te słowa: „Jo F. spolył stodołe i niech mnie ona teroz za to w d... pocałuje".

Przywódców wykolejonych chłopaków przezywano we wsi: jednego „Szatanek", drugiego „Judasz", trzeciego „wściekły pies". Dla nich był to wielki zaszczyt.

Starszy mój brat też zaczął ćwiczyć się na „kozoka", lecz ojciec nie pozwalał na to i dopóki żył trzymał go „krótko". Niestety, nędza i różne zmartwienia zniszczyły ojcu zdrowie i zmarł niebawem. Wtedy brat miał już wolną drogę do wszelakiej rozpusty: kradł z domu zboże, kupił sobie rewolwer, „ślajał" się nocami, a w dzień sypiał długo. Wtedy to naprawdę rozpoczynało się piekło w naszym domu, bo matka zazwyczaj mielakiem usiłowała nawrócić go ze złej drogi. On nie dał się bić, wyrywał mielak z rąk matki, wywijał nim i klął. Matka wówczas wylatywała na podwórko, padała krzyżem na ziemię, lamentowała i pomstowała.

Po pewnym czasie brat opuścił rodzinny dom i przyjął pracę w kopalni węgla Zagłębia Dąbrowskiego. Ja zająłem się gospodarstwem. Napawało mię to dumą, więc starałem się by każdą pracę należycie wykonać. Byłem młody i w dodatku słabo rozwinięty, to też ogromnie nadwyrężałem siły. Nędza co raz większa wkradała się do domu, więc co raz większe czyniłem wysiłki. Oprócz pracy w gospodarstwie jeździłem też na zarobek do sąsiadów, lub do Zagłębia po węgiel, czy też z owocem. Nie zmitrężyłem ani chwili.

Jednak matkę moje wysiłki niezupełnie zadawalały. Zawsze zdarzyło się coś źle. Sąsiedzi radzili jej trzymać mię „krótko", bym się nie popsuł jak starszy syn. Tak też robiła. Skutek tego był kiepski, bo żal do matki odbierał mi chęć do pracy, a nawet i do życia i wepchnął w ślady brata: piłem i zalecałem się dziewczynom. To jeszcze bardziej wstrzymało mój rozwój fizyczny.

Po dwu latach brat został zredukowany, wrócił do domu, podał sprawę do sądu o podział majątku po ojcu, wziął gospodarstwo, a ja z niewielką spłatą poszedłem na „samopas". Pieniądze pożyczyłem sąsiadom, udając się za poszukiwaniem pracy. Objeździłem parę razy Zagłębie Dąbrowskie, obszedłem okoliczne dwory, lecz stałej pracy nigdzie nie dostałem. Mieszkałem więc u matki, a na chleb zarabiałem koszeniem i młóceniem u sąsiadów, gdyż gotówki ze spłaty rodzinnej nie chciałem „urywać".

Po roku tego marnego żywota ożeniłem się w Będkowicach. Żona miała jeden mórg lichej ziemi i pół nieużytku.

W niedługim czasie pojąłem jak wielkie popełniłem głupstwo. Nędza dokuczała mi jeszcze bardziej, niż przedtem. Spłata rodzinna „wsiąkła" na zagospodarowanie. Musiałem dalej pracować u sąsiadów kosą, cepem, motyką i w lesie siekierą...

Stałem się poprostu gromadzkim robotnikiem za jeden złoty dziennie, a zimą za osiemdziesiąt groszy. Musiałem się przy każdej pracy nadwyrężać, by zrobić tyle co silny chłop, bo inaczej nikt by mię nie najął, wszak ludzi nie brakowało. Nie starczyło mi jednak na najskromniejsze potrzeby. Zamało było aby żyć, a za dużo aby umrzeć. Często na przednówku nie było czym raz dnia się posilić. Ubrania i butów też nigdy nie było. Podatku nie można było zapłacić. Chowałem tylko dwie kozy, czasem jakąś gęś czy kurę, a w razie przybycia sekwestratora — umykałem z tym „majątkiem" w pole. Jednego razu wracam w południe od kopania ziemniaków — czteroletnia córka stoi nad sadzawką i woła płaczliwie: „Mama, tata,, gęsi nie chcą zleźć ze stawu, a sekwestrator we wsi".

Ubawiło mię to, lecz i rozczuliło, bo dziecko stało kilka godzin nad sadzawką i drżało ze strachu, że jej sekwestrator zabierze gęsi.

Podobnych jak ja nędzarzy było we wsi około trzydzieści rodzin. Niektórzy jeszcze biedniejsi ode mnie. Wszyscy próbowaliśmy ratunku i szukali pracy w mieście. Czasem ktoś znalazł tymczasowo robotę przy budowie domów czy szosy, lecz trzeba było mieć skądś poparcie.

Biedacy zbierali latem borówki w lesie. Każdego ranka, zaledwie świt nastał, kobiety z dziećmi, a nawet i mężczyźni pędzili naoślep do lasu. Przy tej pracy można było zarobić około 50 groszy dziennie.

We żniwa wynajmowali się do koszenia zboża u zamożniejszych gospodarzy, lecz najczęściej wychodzili z kosami pod Kraków. Była to jedyna okazja, bo za tydzień można było zarobić piętnaście złotych. Jednak nie zawsze udało się znaleźć to „szczęście", bo kosiarze chodzili „procesjami". Bywało, że zniecierpliwiony Krowodrzanin nie mogąc nastarczyć odpowiadać tułaczom — szczuł ich psem. Było to wielkim poniżeniem człowieka łazić z kosą od wsi do wsi i od domu do domu. Po żniwach łazili za młócką, a następnie za kopaniem.

Niektórzy z tych biedaków mieli „smołę w rękach" i kradli, przeważnie drzewo z dworskiego lasu. Jednak trzeba było mieć do tego i siłę i odwagę. Ja tego nie robiłem, bo byłem słaby i szanowałem swoją opinię. Chciałem żyć uczciwie.

Pomocą dla Będkowskich biedaków był też miejscowy folwarczek. Właściciel jego, syn księdza, był już stary, niedołężny i nie mógł opędzić się przed złodziejami. Ścinali mu drzewo w lesie, wypasali koniczynę, brali żyto z mendli, kopali ziemniaki, marchew i różne jarzyny. Zaś ze stodoły i śpichrza służący brali co się dało. Niedołężnego starowiny nikt się nie bał, bo on nawet nie znał ludzi. Wychodził codzień w pole,klękał, wznosił ręce do góry i pomstował złodziei. A ci drwili z niego:

— Księży bąku, upracowałeś se to na tym majątek, co ci go tak żol?... Jak Pan Bóg mnie ukorze za krodzież, to ciebie jesce prędzy i twygo ojca za ludzko krzywdę... To wszycko ludzko proco...

Gospodarze nie donosili właścicielowi o kradzieży, bo przez to sami mieli spokój. A jeśli czasem ktoś ośmielił się to zrobić — złodziej narobił mu szkody w polu lub wybił mu szyby w oknie.

Między biedakami a zamożniejszymi panowała nienawiść: pierwsi zazdrościli „bogocom" majątku, ci zaś pogardzali „dziadami". Obmawiali się wzajemnie i często kłócili. W niedzielę gospodarze zazwyczaj wysiadywali w sadach i rozmawiali o gospodarstwie, a biedacy najczęściej zgrywali się w karty.

Wśród biedaków powstało ograniczenie urodzin. Stosowali różne zabiegi, ale najczęściej kobiety rozmyślnie przerywały ciążę. Zamożniejsi potępiali to jako śmiertelny grzech, lecz później sami te zabiegi stosowali.

Dla ludzi wykształconych wieśniacy mieli wielki respekt, jednak ich nienawidzili, nazywając ich bez wyjątku gnębicielami ludu. Dzieci chętnie posyłali do szkoły, pojmowali doniosłość nauki, lecz nie wierzyli w jej osiągnięcie przez chłopskie dziecko.

— Kaj ta ucony pon bedzie dboł o chłopa — powtarzano stale — Panowie wolo, zeby chłop był jak nojgłupsy, zeby mogli nim orać. Chłop nigdy nicym nie bedzie... A jak sie który wyucy, to się zrobi panym i pomogo brzuchocom gnębić chłopów.

Takie pojęcie wstrzymywało nawet zamożnych do kształcenia dzieci. Trwał stały półanalfabetyzm, bo dziecko skończywszy 3 — 4 oddziały, przestawało w domu czytać i pisać i po paru latach stawało się niemal analfbetą. Rzadko w którym domu była książka, pióro i atrament. W ciągu ostatniego dziesięciolecia przed wojną w Będkowicach, gdzie jest przeszło 120 rodzin i znajdują się nawet zamożni gospodarze (jeden z nich posiada 60 morgów ziemi) — zaledwie siedmioro dzieci ukończyło pełną szkolę powszechną, a żadne średniej.

Winą tego było brak w miejscu pełnej szkoły. Objaw ten potwierdza się ożywieniem nauki w innych wioskach, gdzie była 7-mio oddziałowa szkoła. Na przykład w Jeżmanowicach: poprzednio panowało tam pijaństwo, nożownictwo i wszelkie łajdactwa. Ale od czasu powstania tam pełnej szkoły powszechnej, dużo się zmieniło: co drugi chłopak czy dziewczyna udawali inteligentów. Przesadnie grzeczni, uprzejmi, dla parady z wiecznymi piórami w kieszonkach — spacerowali w niedzielę po wsi jak „prawdziwe pany". Wielu z nich ukończyło szkoły rolnicze, a kilku zostało nauczycielami.

— — — — —

Wzajemna nienawiść sąsiedzka, własna nędza i innych oraz rozkosze w jakich opływały „wyższe sfery", wzbudzały we mnie bolesne uczucie. Co raz głębiej zastanawiałem się nad tymi zagadnieniami doszukując się istotnych przyczyn zła.

Każdego wieczora położywszy się w łóżku, czyniłem sobie rachunek sumienia: ile dziś zrobiłem dobrego, a ile złego, ile uczyniłem pożytku czy szkody sobie, a ile społeczeństwu? Rachunek wypadał ujemnie: nie różniłem się wcale od sąsiadów, choć rozumiałem, że oni źle postępują. Dochodziłem do dwu wniosków: że trzeba się poprawić i że do poprawy potrzebna jest świadomość życia, a tę zdobywa się przez wiedzę.

Refleksje odgrzebywały powoli moje zamiłowanie do nauki z lat dziecinnych, a będąc stale smutnym — począłem szukać zadowolenia w książce, jakiego nie znalazłem ani w gronie biednych, ani zamożnych. Więc pożyczałem książki od miejscowej nauczycielki i w wolnych chwilach od pracy skwapliwie czytałem. Przeważnie pociągały mię książki o treści psychologicznej, wszak moja myśl znajdywała tam pewne ujście.

Po paru latach przeszkoliłem się nieco, że ludzie nazywali mię „mądrzejszym". I nawet, gdy we wsi powstało K. M. W. „Siew" mnie wybrali prezesem. Zabrałem się więc do pracy z młodzieżą. Zorganizowałem kółko teatralne i co miesiąc urządzaliśmy przedstawienia amatorskie. Wypadały zawsze dobrze, że nawet od nauczycielki czy księdza otrzymywałem pochwały.

Niebawem miejscowa Straż Pożarna zaprosiła mię do kierowania w przedstawieniach; za co nadała mi tytuł honorowego członka OSP., której następnie zostałem sekretarzem. W ten sposób przekształciłem się z pogardzanego „dziada" na „mądrego" i cokolwiek społeczeństwu pożytecznego człowieka.

Nędza trzymała mię nadal w swych szponach. Z cepem, czy kosą goniłem za groszem jak zwykle. Ale mając już „głowę na karku" szukałem sposobu ulżenia ciężkiej doli. Otóż we wsi zdarza siię czasem rozmierzanie gruntu w czasie podziału majątkowego. Robił to pewien stary chłop, długoletni sołtys. Błysnęła mi tedy do głowy myśl: „dlaczego ja tego nie mam robić?" Przecież znam dobrze arytmetykę, należy tylko nauczyć się jeszcze rachunków z geometrią. Więc kupiłem sobie książkę rachunkową. Początkowych wiadomości obliczania ułamków udzielił mi kuzyn w Jerzmanowicach, nauczyciel. Dalej już szło jakoś. Po miesiącu ćwiczeń znałem już nietylko ułamki, ale umiałem też obliczać powierzchnię prostokąta, trójkąta, wieloboku, a nawet powierzchnię koła i oobjętość walca; nauczyłem się też obliczania procentów i różnych „promilów". Następnie kupiłem sobie starą taśmę mierniczą, zrobiłem tyczki i nazwałem się geometrą.

Trud nauki opłacił się, bo zaraz po żniwach zarobiłem pięćdziesiąt złotych mierzeniem pól we wsi i okolicy. Była to dla mnie pokaźna suma, która dźwignęła mię na nogi. Kupiłem sobie ubranie, trzewiki i koszulę, żonie też jakąś szmatę i jeszcze zostało mi kilka złotych. Za tę resztę kupowałem od czasu do czasu jakąś gazetę.

Od tego czasu łudziłem się nadzieją poprawy życia, i co raz zawzięciej uczyłem się, bo pragnąłem zostać jakiśm urzędnikiem w biurze.

Niewiadomo jakim torem pchałby mię dalej nieszczęsny los, gdyby nie sprowadzenie się do Będkowskiej Doliny inż. L.Rościszewskiego. Jego to żonie, Janinie, zawdzięczam częściowo swoje pisarstwo. J. Rościszewska wydała książkę, która mię wielce zaciekawiła. — Możebym i ja podobną napisał — pomyślałem i udałem się do autorki po radę. I dziś jeszcze dziwię, się że ją to wcale nie zaskoczyło, by chłop, nie mający wcale pojęcia o kulturze literackiej, myślał o pisaniu powieści. Udzieliła mi wskazówek i zachęcała do tej szlachetnej pracy.

Od tego czasu dziwne zmiany zaszły w mej duszy: nie przerażała mię już nędza, nie ogarniała rozpacz, a tylko unosiła radość, że może zostanę pisarzem.

Przez parę tygodni obmyślałem temat do powieści i nareszcie zabrałem się do pióra. Jednak nie wiele miałem czasu i tylko w niedzielę gryzmoliłem. Szło ciężko i nieudolnie. Na dwa rozdziały wyczerpałem cały temat i zrozumiałem, że dalej nie mogę, bo czym zapełnię choćby dwieście stron książki?

Niepomyślny poczatek nie dawał mi spokoju. Rościszewska wyjechała na dłuższy czas ze wsi i nie miał mi kto udzielić wskazówek. Ciągłe rozmyślania nasunęły mi inną możliwość: — pisać wiersze. Spróbowałem. Szło lżej, niż proza.

Po napisaniu paru wierszy zwróciłem się do kuzyna w Jeżmanowicach, nauczyciela o ocenę. Pochwalił mię i radził pisać.

Czułem się już poetą. Trzy wiersze posłałem do redakcji IKC w Krakowie, lecz wrócili mi je zaraz. Posłałem jeszcze gdzieindziej, lecz nie otrzymałem odpowiedzi.

Z początku zraziłem się niepowodzeniem, lecz wkrótce zapał ogarnął mię z powrotem. Uparłem się, że muszę dokonać zamiaru, choćbym miał zdrowie i życie nad tym zmarnować. Przemęczenie fizyczne, nędza i różne zmartwienia jakkolwiek były wielką przeszkodą w tej pracy, jednak jej nie powstrzymały.

Po roku trudnych „ćwiczeń" wysłałem jeden wiersz do „Życia Strażackiego", a drugi do naiwnego pisemka „Ogólnopolski Informator". Oba wiersze zostały zaraz wydrukowane. Sprawiło mi to niewymowną radość i podwoiło zapał do dalszej pracy. Oprócz tych czasopism, drukowałem wiersze i felietony w „Chłopskiej Prawdzie".

W pierwszym roku wojny, przygnębiony niewolą, nie miałem w ogóle sił i nerwów do pisania. Dopiero w następnym roku napisałem pierwszą książkę pt. „Ugory".

Józef Pogan

Stanisław Piętak

Czytelnictwo poezji na wsi

Kilka miesięcy temu zajmowałem się na łamach naszego tygodnika czytelnictwem powieści na wsi i omawiając szereg wypadków zaobserwowanych, dochodziłem do twierdzenia, że powieść fabularna niezależnie zupełnie od jej wartości artystycznej i ideowej, bije na głowę inne rodzaje beletrystyki, jeśli idzie o poczytność.

Zastanawiając się nad czytelnictwem poezji, które przecież i w mieście wśród inteligencji wygląda zastraszająco, jestem nieco zażenowany. Na pozór bowiem wydawałoby się, że na wsi nie ma w ogóle czytelników tego wyszukanego, bardzo oddalonego od potocznego języka, rodzaju literackiego.

Istotnie, nie ma zapamiętałego czytelnika, co to z wypiekami na twarzy brał do ręki „Trylogię" czy „Trędowatą" i który nie jadłby nawet dzień, byle dostać te książki. Jeśli wyłączy się literatów ludowych, którzy jak w ogóle literaci czytają wszystko, to właściwie stałych odbiorców, czytelników na wsi miałaby poezja tylko *okolicznościowa* lub *żartobliwa, wesoła.* Fraszkę czy żart wierszem chłop przeczyta z własnej woli i będzie zadowolony, że to przeczytał — wiersz liryczny zaś czy opisowy ominie, bo go nie zrozumie i nad nim się znudzi — trzeba to wziąć pod uwagę.

Zastanawiało mnie zresztą, że wieś, która tak kocha rymy, używając ich doprawdy przy wszystkich okolicznościach życia i która tak przejmuje się pieśnią ludową o wysokiej wartości artystycznej i wzrusza się nią, słuchając jej, nie garnie się do poezji, nie czyta Mickiewicza, Słowackiego, nie czyta nawet Syrokomli czy Lenartowicza, nie mówiąc już o późniejszych poetach. Sądzę, że przeszkoda główna, która odrzuca chłopskiego czytelnika od poezji lirycznej, jest jej *wyrafinowany* język, poza tym *kondensacja myśli i uczuć* w zdaniu. Nie rozumie, więc nie czyta.

Jako czytelnik jest jeszcze chłop *bardzo prymitywny,* przepada za *fabułą,* ceni i rozumie jedynie *obrazową* poezję, dlatego cofa się przed wszelką *abstrakcją* i nie lubi jej, nie docenia jej. W pieśni ludowej wzrusza go balladowość losu bohatera czy bohaterki, może zresztą zachwycić się i „Panem Tadeuszem" (patrz art. wspomnieniowy Marcinka w 30/58 nr „Wsi"), bo język tego arcydzieła jest mu bliski przez swoje realistyczne obrazowanie — do liryki jednak, do której trzeba skupienia uczuciowego, pracy myśli nawet i wykształconego smaku, nie ma właściwego stosunku. Nie bawi go ona ani nie wzrusza — przeciwnie, męczy — więc nie bierze jej do ręki.

Nie ma czytelników poezji na wsi, ale nie można powiedzieć, że nie ma konsumentów; tych jest wielu i to bardzo chętnych. Mówię znów na podstawie wieloletniej obserwacji, tylko nie chcę za długo gawędzić, więc nie przytaczam faktów.

Usłyszeć z estrady, ze sceny chłopi mogą i trudną poezję, i wzruszą się nią niejednokrotnie. Można im podać wiersze Kochanowskiego, fraszki Potockiego, poezje wielkich romantyków i nawet lirykę naszych dni, byle by dobrze była w słowie mówionym podana.

Poezja humoru zawsze się będzie cieszyć większą popularnością niż liryka krajobrazowa — trzeba to wziąć pod uwagę i popularyzować poezję na wsi, zaczynając od gatunków najbliższych jej odczuwaniu.

Oddział Wiejski Związku Zawodowego Literatów Polskich opracował poranki poezji polskiej dla słuchacza wiejskiego i będzie już tej jesieni wysyłał swoich przedstawicieli w teren z odpowiednim programem. Poeci objadą wiele wsi, recytując wiersze swoje i wiersze dawnych twórców — zobaczymy, co ta akcja przyniesie?

Ja przynajmniej sądzę, że da ona pozytywny rezultat. Czytelnicy poezji jeszcze nie wymarli w Polsce, mogą być na wsi przede wszystkim i to w wielkiej liczbie, trzeba tylko wśród tych czytelników popracować, poruszyć wyobraźnie które śpią, a które w głębi są żywe i nie zmanierowane i mogą zareagować silnie na słowo piękne.

Wierzcie mi: czytelnik poezji w przyszłości — to przede wszystkim wieś.

Zdzisław Skwarczyński

Co to jest pisarstwo ludowe?

Ukazanie się *Pisarzy Ludowych* Konińskiego w roku 1938 było taką samą rewelacją, jak poprzedzająca je publikacja *„Pamiętników Chłopów"*. Fakt miał w tej samej mierze wymowę socjologiczną, co i literacką — to też w pogłosach wywołanych pojawieniem się antologii próbowano osądzić go na odpowiednich tłach i nadać mu zależnie od systemów ocen właściwych recenzentom książki — specjalne znaczenie. Było to zrozumiałe ze względu na ówczesną sytuację społeczną Polski i znamiona przewlekłego kryzysu literackiego.

Jeśli pominiemy z dość bujnego pokłosia wypowiedzi na temat książki recenzje: sprawozdawcze, uzupełniające materiał zebrany przez Konińskiego lub też te, których autorzy wobec słabego obycia z materiałem, jakiego wybór przecie tylko eksponowała antologia, zdradzali chęć do akademickich lub zgoła peryferycznych rozważań — na uwagę zasługiwały przez ważkość spraw w nich poruszanych i specyficzną orientację w zjawisku — dwa głosy „starych wygów literackich" — historyka literatury prof. St. Pigonia i krytyka K. Irzykowskiego.

NA DROGACH I MANOWCACH KULTURY LUDOWEJ

Pod tym dobrze wybranym, choć na pewno nie z taką intencją, jaką gotowi byśmy byli mu przypisać, tytułem wydał w roku 1939 prof. Pigoń tom studiów, wśród których znalazła się obszerna recenzja antologii Konińskiego.

Punktem wyjścia dla ogólnych rozważań Pigonia nad wartością wyboru stał się rozdźwięk metodyczny, jaki ujawnił się między stanowiskiem prof. Fr. Bujaka, autora przedmowy do *Pisarzy ludowych* i patrona wydawnictwa, a stanowiskiem Konińskiego w sprawie przynależności niektórych pisarzy pomieszczonych w antologii do kategorii pisarzy ludowych.

Według prof. Bujaka: „Przede wszystkim może budzić pewne wątpliwości, dlaczego autor w niniejszej antologii (Koniński — przyp. mój), wchodzącej w skład *Biblioteki dziejów i kultury wsi,* umieścił obok pisarzy wiejskich *z ducha i pochodzenia* (podkreślenie moje), także i pisarzy z miejskim a nawet proletacjackim poglądem". (Fr. Bujak: Przedmowa do *Pisarzy Ludowych).*

O ile jednak prof. Bujak w dalszym ciągu swej przedmowy wykazuje tolerancyjne zrozumienie dla odmiennej postawy Konińskiego pisząc: „Niewątpliwie zaważyło tu *stanowisko naukowe* twórcy antologii, który dla oceny utworów literackich uznał za daleko ważniejsze rozróżnienie stopnia wykształcenia autorów od ich przynależności do wsi lub miasta jako zasadniczych typów socjologicznych", — o tyle Pigoń *tylko* autorów *rekrutujących się ze wsi* zalicza do literatury ludowej.

Nie ulega wątpliwości, że takie stanowisko znajdowało do pewnego stopnia oparcie w studium wstępnym Konińskiego do antologii, w którym na czoło zagadnień wysunął on pytanie:

„Co masa ludowa ma przez swoich piszących narodowi, a właściwie wykształconej jego warstwie do powiedzenia?" — oraz — „do jakiego *poziomu* wypowiadania się uzdolniony jest nasz polski *człowiek z ludu,* który samoukiem będąc, kontaktu ścisłego z życiem ludowym nie straciwszy, wziął się do pisania?".

Sugerowało to autonomiczność niemal *absolutną* literatury (a chyba i kultury) ludowej, pretendowało do odkrycia jej tylko właściwych, rodzimych walorów, które podniesione w regiony literatury bezprzymiotnikowej mogłyby przyczynić się do jej wzbogacenia, mogłyby wlać w nią ożywcze soki.

Gdzież szukać tych „ożywczych krynic", jeśli nie w samorodnej, w minimalnym tylko stopniu skażonej obcymi wpływami twórczości ludu wiejskiego? Proletariat miejski przecie taką oryginalną siłą kulturotwórczą nie jest.

Zresztą przejawia się to nawet w doborze autorów, pomieszczonych w antologii: wieś ma zdecydowaną przewagę ilościową i jakościową, a jedno z czterech proponowanych kryteriów, według jakich można ustalić: kto jest pisarzem ludowym, kryterium ścisłego związku z życiem ludowym — nie może chyba odnosić się do życia miejskiego proletariatu, który ogromną część tła zabarwiającego jego typ socjologiczny, dzieli z mieszczaństwem.

W ten sposób chyba mniejwięcej dosnuwał odrobinę skłopotane wieloaspektowością materiału, zbłąkane wskutek personalistycznych założeń *(kto* jest pisarzem ludowym?) i przeto niezdecydowane badawczo myśli Konińskiego — Pigoń. Stąd też chyba wyniknęło ciekawe, ale przeceniające samorodność i wartość bezwzględną zjawiska, studium o Wincentym Witosie jako pisarzu i mówcy, należące do wspomnianego zbioru studiów.

Nie trudno stwierdzić, że z badawczego punktu widzenia bardziej racjonalna była niejednoznaczna, zawierająca ukryte sprzeczności i niedomówienia postawa Konińskiego, empiryka mozolnie budującego gmach uogólnień na podwalinach faktów, postawa nie przysądzająca zdecydowanie przewagi wsi w tworzeniu literatury ludowej, ostrożna i starająca się o elastyczność wobec zjawisk, niż aprioryczne, normatywne i wyznawcze stanowisko Pigonia.

Widząc lud tylko na wsi, zapominał Pigoń o 19-wiecznej historii socjalnych ruchów emancypacyjnych, rozszerzających etnograficzne pojęcie ludu. W tych właśnie ruchach chłop brał udział wespół z robotnikiem, ucząc się od niego form walki, kształtując wyraziście swą świadomość i przejmując za pośrednictwem socjalistycznych wydawnictw uświadamiająco-agitacyjnych, sporo elementów ideologicznych i literackich, właściwych środowisku proletariackiemu. Pragnę zwrócić uwagę, że tak rzecz wyglądała niezależnie od zaborów, czemu dają wyraz wszyscy starzy świadomi społecznie pisarze chłopscy. (Patrz art. J. A. Króla — „One wiele dobrego zdziałały..." „Wieś" Nr 30 ogól. zbioru).

Tę właśnie fazę historyczno-socjalną uwzględniała antologia Konińskiego.

ZE ŚWIATA DO KOMBORNI

W wyznawczej postawie prof. Pigonia tkwiły daleko większe niebezpieczeństwa dla przyszłości kultury wsi. Przede wszystkim była to idea *rezerwatu* pierwotnych sił kulturowych, idea *izolacji kultury wsi* od rozwojowych czynników życia, pretensja do kształtowania *według jej wzoru* dalszych losów kultury narodowej:

Tymczasem — czytelnicy darują, że zacytuję tu zdanie badacza kultury ludowej, Bystronia: — „Kultura ludowa, tak jak ją etnografowie zdołali odtworzyć, nie spełniała wygórowanych życzeń: nie była czymś jednolitym, czymś zupełnie rodzimym, płynącym z najgłębszych źródeł twórczości narodowej; w stosunku do oczekiwań okazała się nadspodziewanie uboga, jednostronna, niezdatna do tej roli, którą jej wyznaczono w przebudowie kultury narodowej w sensie jej pogłębienia i związania istotnego z duchem narodu".*)

Analogicznie ocenia w węższym zakresie acz na bardzo rozległych, bo za granice Europy sięgających tłach folklorowych — twórczość ustną naszego ludu prof. J. Krzyżanowski.

Wreszcie nie sądzę, aby to był tylko fatalny zbieg okoliczności, że nie poznałem dotychczas ani jednego *całkiem oryginalnego* i godnego specjalnej uwagi ze względu na swe walory, twórcy chłopskiego większego kalibru, mimo że zetknąłem się nawet z takimi, którzy należeli jeszcze do pogranicza między twórczością ustną a piśmienną, bezimienną i personalną. Wszyscy wykazywali mniej lub więcej wyraźne, świadome lub nieświadome zależności od częstokroć bardzo odległej od nas tradycji literackiej, czy też wprost literatury. Tylko wąskie pojmowanie tej właśnie tradycji, nieznajomość szlaków, którymi ona przenika w lud, sprawia, że skłonni jesteśmy uważać jakieś zjawisko, które wydobędzie się na powierzchnię w kształcie utrwalonym na piśmie, za całkiem oryginalne i wyrastające *z iścizny* ducha narodowego.

Utwory okolicznościowe, pieśni obrzędowe, religijne, miłosne, mowy pogrzebowe, swadziebne i weselne, listy wierszowane i prozaiczne — gdy na oczach naszych powstają na pozór z czystej tylko inwencji — w istocie noszą na sobie piętno częstokroć nam nieznanych ukrytych w skarbnicy ludu niepiśmiennego: *pamięci* — wzorów, które przeniknęły, choć często zniekształcone, z warstw oświeceńszych w lud.

Ubogi arsenał środków artystycznych gromadzony wiekami *(anachroniczność* daje złudzenie oryginalności), ustępuje wszędzie przed doskonalszymi środkami wyrazu tam, gdzie chłop dzięki oświacie ma sposobność *rozeznania się* w nich i *stwierdzenia* ich *przydatności.* Świadomość tego procesu ma stary ludowy pisarz Czuła, mówiąc: „kiedy myśmy wchodzili w język literacki to i dlatego, aby poradzić sobie z zagadnieniami, których gwarą wyrazić się nie dało". (M. Czuła — *Książka o dawnych pisarzach ludowych.* — „Wieś" Nr 33 ogólnego zbioru).

Biorąc to wszystko pod uwagę, niemożliwy jest regres kulturalny „ze świata do Komborni", że sparafrazujemy tytuł ostatniej książki prof. Pigonia, *niemożliwe jest* także w sensie historycznym i rozwojowym *zacieśnianie pojęcia literatury ludowej do literatury chłopskiej, koncepcyjnie z etnograficznym poglądem na kulturę związane.*

ALE...

Istnieje przecie pewne „ale", które rozważyć trzeba. Jest ono niejako efektem przemian społecznych zaszłych wskutek „łagodnej rewolucji" i dotyczy perspektyw rozwojowych literatury ludowej.

W przeprowadzeniu tej „łagodnej rewolucji" nie jednako zaangażowane były siły miasta i wsi. W poważnej mierze wypływa to z niższego stopnia *powszechnej świadomości społecznej chłopów.* To jeden fakt. Innym jest ogromna różnica — przy założeniu, że ten sam cel obowiązuje — między rzeczywistością zastaną a postulowaną w mieście i na wsi.

Proletariacki ruch emancypacyjny osiągnął w zasadzie swe cele, a proletariat stał się dysponentem dóbr i środków produkcji, do których pretendował, obejmując rolę warstwy kierowniczej w narodzie. W związku z tym można także mówić o pewnym utożsamieniu wzoru socjologicznego proletariackiego i ogólnonarodowego z przewagą pierwiastka miejskiego i przemysłowo-technicznego.

Miasto bowiem z jego techniką, bogato zróżnicowanymi funkcjami indywidualnymi i zbiorowymi oraz instytucjami wszelkiego typu stanowi tło, na jakim kształtują się typy bytowania: proletariacki i mieszczański. To właśnie wspólne tło obok zasadniczej tendencji do podniesienia stopy życiowej proletariatu i uznania jej za wskaźnik podstawowy — sprzyja zatarciu wielu materialnych różnic dzielących te typy i ułatwia przejęcie przez proletariat kierownictwa kultury narodowej z rąk tej warstwy, która dotychczas nią władała i kształtowała jej oblicze. Rosnące szeregi inteligencji pochodzenia proletariackiego są pomostem, na którym to odbywać się będzie. W stosunku do literatury narodowej wpłynęło to poważnie na *zmianę zamówienia społecznego* formułowanego pod jej adresem, ale zarazem wyeliminowało z obiegu, zdeaktualizowało pojęcie literatury proletariackiej, będącej dotychczas funkcją wyzwoleńczych pretensji i aspiracji proletariatu. Wysiłki organizacyjne, oświatowe i kulturalne zmierzają dziś zdecydowanie ku temu, by proletariat partycypował (brał udział) bezpośrednio, czynnie i biernie w kulturze (a co za tym idzie i literaturze), by tworzył ją, jako wiecznotrwały pomnik swej wartości i dojrzałości kulturowej.

Odmiennie rzecz przedstawia się na wsi.

Poczynając od znacznie większego na wsi niż w mieście analfabetyzmu pierwotnego i powrotnego, poprzez braki w sieci szkolnej, wymagającej budynków, nauczycielstwa i pomocy szkolnych na odpowiednim poziomie, nieliczne kadry inteligencji chłopskiej, zacofanie produkcyjno-techniczne, powszechnie niski stopień i ciasny zakres kooperacji, brak zróżnicowanych o szerokim wachlarzu form życia indywidualnego i zbiorowego, w tym także kulturowego, nikła na ogół i nienowoczesna sieć środków komunikacyjnych wiążących z miastem i ułatwiających zetknięcie z odmiennymi środowiskami — wszystko to sprawia, że chłop jako masa dotychczas faktycznie nie bierze w pełni udziału w procesie produkcji, wymiany i konsumcji dóbr materialnych i duchowych w takiej skali, w jakiej jest do tego uprawniony politycznie i że dystans między wyższymi formami życia narodu a wsi — trwa, powodując nieobliczalne szkody. Przykładem niechaj będzie ostatnio zaobserwowane kurczenie się rynku czytelniczego w Polsce, na którym wieś nie występuje, na pewno nie ze względów finansowych.

Inaczej mówiąc, pojęcie *lud,* podrzędne zakresem i treścią w stosunku do pojęcia *naród — staje się napowrót właściwe masom chłopskim,* a pojęcie: *literatura ludowa* — identyfikuje się z pojęciem *literatury chłopskiej.*

ZADANIA

Aktualna rzeczywistość wiejska nakłada na literaturę ludową specjalne obowiązki, którymi całej literatury narodowej obarczać nie sposób.

W pierwszym rzędzie jest to: za pośrednictwem środków, jakimi literatura rozporządza, stosowanych do określonego kręgu kulturowego odbiorców, pobudzać masy chłopskie do *aktywniejszego* życia społecznego w sensie najogólniejszym, *rozszerzać* zainteresowania kulturowe, intelektualne i estetyczne wsi, *organizować* w sensie *postępowym* świadomość chłopstwa.

Podobnemu pojmowaniu istoty literatury ludowej dał wyraz wspomniany na początku K. Irzykowski (*„Spowiadanie ludowości". Ateneum 1938 nr 4—5).*

Wypowiedział się on zdecydowanie przeciw pospolitemu wtedy *„włażeniu w korzenie"* i szukaniu w ludzie wiejskim i jego kulturze, pojętej *statycznie,* lekarstwa na przewlekły kryzys kulturowy i literacki narodu („Jeśli zbawienie leży pod siermięgą, to napewno nie zbawienie literackie"), a spośród rozproszonych po przypisach i marginesowych uwagach myśli Konińskiego wyłuskał określenie literatury ludowej jako *funkcji samowychowania się ludu do kultury narodowej,* dodając od siebie, że jest ona zarazem *wyrazem wzrastającej woli mas do ekspresji literackiej.*

KILKA WNIOSKÓW I PROPOZYCJI

Przesunięcie punktu ciężkości z pytania: *kto jest pisarzem ludowym?* na: *czym jest literatura ludowa?,* pozwala historykowi sformułować punkt widzenia na istotę tego zjawiska.

Otóż proponujemy następujące określenie:

Pisarstwo ludowe jest naiwną lub świadomą funkcją, mającą na celu zaspokojenie potrzeb literackich środowiska ludowego, w oparciu o *jego* tradycję literacką i *aktualną* świadomość literacką oraz o jego typ życia zbiorowego i indywidualnego z jego aspiracjami.

Określenie *pisarstwo ludowe* proponujemy miast *pisarze ludowi;* uwalnia nas ono bowiem od personalistycznego traktowania zjawiska a ma także tę zaletę, że jest ono zakresem i treścią bliższe *piśmiennictwu,* co oddaje dość dobrze charakter ludowej produkcji, nie nastawionej wyłącznie na cele estetyczne. Pojęcia *literacki* używamy tylko przeciwstawnie do *pozaliteracki,* ścisłe rozgraniczenie terminów pozostawiając teorii literatury.

Powyższe określenie — jak łatwo dostrzec — uchyla wiele dotychczasowych problemów powstałych z niezbyt fortunnego pytania badawczego: kto jest pisarzem ludowym?

Nieistotne okazują się kryteria: pochodzenia, wykształcenia (ew. jego braku) i ścisłego związku z życiem ludowym. Jako jedynie ważne w każdym przypadku pozostaje kryterium poziomu intelektualnego i formalnego twórczości, choć mimo ścisłego związku z tradycją i świadomością literacką środowiska musi ono być pojęte *dynamicznie* i *progresywnie ze stałą tendencją do wznoszenia się,* co także wynikać może z oparcia twórczości pisarskiej o życie zbiorowe warstwy społecznej, poddane przecie *prawom rozwoju.*

Rzecz prosta, że w takim ujęciu — zupełnie obojętne jest, czy pisarz ludowy jest amatorem czy zawodowcem, byle miał rezonans i odpowiedni krąg odbiorców. Tak samo zresztą odpada problem: czy ktoś jest autorem kilku utworów, czy też pisarstwo uprawia ciągle, na czoło natomiast wysuwa się zagadnienie wartości utworu w odniesieniu do istoty pisarstwa ludowego. To pociąga za sobą konieczność szczegółowego opisu w różnych przekrojach tego zjawiska i stanowi obecnie najpoważniejszy postulat badawczy.

---

*) J. St. Bystroń — Kultura Ludowa. W-wa 1936 str. 9.

Józef Ozga-Michalski

Ameryk wędrujący

I z czego powstał w to wrócił
jak człek, gdy z gliny – to w glinę.
I on z kamiennej chuci
wlazł znowu w skamieline.

Oto wypadki, które działy się za przyczyną świętego Emeryka na polanie leśnej we wrześniu 1941 roku. Ścieżka, która przebiega pod nosem utrąconym Emeryka, który ma również oberwane jedno ucho, coraz to nowych sprowadza bohaterów, którzy się ukazują i znikają w ciemnym jodłowym lesie.



Figura Św. Emeryka, pod Św. Krzyżem

Opis ogólny figury klęczącej w lesie u stóp klasztoru Świętego Krzyża. O czym rozmyśla ten poobijany dyszlami, kołami i kłonicami, albo też obrzucany kamieniami przez pastuchów wyklęty świątek, którego nie chronią ani prawa kościelne, ani prawa cywilne, a i złe siły nie widać żeby go otaczały opieką.

I

W niebieskiej skórze anioła,
kołysząc się jak nietoperz,
kilkakroć nań zawołał,
sosnowym ochrzcił hyzopem.
Wystawił mu metrykę
pisaną wierszem chropawym
i żartobliwym językiem
zabawną dla zabawy.
Przeżywał wiek dziecięcy,
gdy bałykował jak dziecko
ni mniej, ani też więcej
przesiedział jak ty pod kiecką.
I równie przez dziewięć wieków
kamieniał pod fałdą jodłową
aż go praźródło ścieków
wysiepło cało i zdrowo.
I bałykował świątkując
aż na ten święty kamień
wlazł i ramiona prostując
sprostował je na amen.

II

ŚPIEWANKA EMERYKA

Ojci, długom tu klęczał
chłopyś każdy jak dzięcioł,
gdy białe pasał gąski
kamykami mnie skąsił.
Raz księżyna pijany
jechał wozem z klasztoru
wioząc wina antałek
rozbił o moją głowę.
Niby święty – nie święty
w tym kamieniu zaklęty,
ale nie myśl, żem głupi
niby świętoch zakuty
w marmurowym kamieniu
w podkościelnym sklepieniu.
Bom jest kamień jak jodła
piję wodę ze źródła,
a łeb stary na słońcu
na mrozie i gorącu.

III

Uciekajże Jasieczku
W złotoskórnym trzewiczku
ino się nie poślizgnij
zara kulka cie liźnie!
Ojże! Trzewik przyciaśnie
zara żandarm cie głaśnie
Ja cie skałą przegrodze
ciśnij buta na drodze
i choć boskim swym ciałem
będę dla nich zawałem!
Boskim ciałem – nie boskim,
jako nie wiem czy dusza
siedzi we mnie, hal nóżki
wiek klęczące rozruszam.
Wiera! Zdrajce przezdrajce
lutry herne żandarmy!
Ja tu jestem bósi karny!
Żandarm oczy przeciera,
on tu klęczał do tera
Przewaliła się skała,
ać na ścieżce zawała.
Ej Jasieczku uciekaj
zanim nogi przewleką
przez me ciało zwalone
ty na tamtej już stronie.
A choć ciemny bóg jestem
w tej skorupie kamienia
tom żywota ci reszte
oddał bez zająknienia.

IV

Mój-że ty miły święty
byłeś ty wtedy bogiem,
gdyś butem moim tknięty
zawalił onym drogę.
A czym to się spodziewał
tylekroć mijając ciebie
że tak mi dobrze posłużysz
w mojej ostatniej potrzebie.
W ostatniej i nie ostatniej,
bo różnie może się zdarzyć,
ale z tej przecie matni
tyś mnie kamyku wybawił.
I dziś wędrując przez ściernie
przez ciche babie lato
śpiewam ci jakże miernie
ową wierszową zapłatą.
Ale se nie myś, żeś darmo
wyważył z posad swe ciało
posiałeś niby ziarno
– i świątki się przydają!
A ja-ć to widzisz rozdmucham
w balladę tak szeroko
jakim to jesteś zuchem,
a jakim byłeś niecnotą!
No, bo przypomnij grzechy,
gdyś głazem nieruchomy
śmiał się z rzetelnej uciechy,
gdy chłopak dziewkę dogonił.
I wiem to, żeś chciwym okiem
patrzył przez gęste krzaki,
gdy on osadzał ją krokiem
parob niebylejaki.
A dzisiaj ty z kamienia
nimb onych śpiewań — patriota!
Święty z kościelnych sieni,
półbożek z pięścią chłopa!
Wędruję dziś przez ściernie
myślę i któż to taki
może mu śpiewam miernie
a może to bóst jaki.

V

Aniołowie ruszają
tą niebieską powałą,
raz się słońce wynurza
to się znowu zachmurza.
Panie Boże, choć nie chcesz
przestań, nie krop mnie deszczem
Może myślisz poskórać
i ozłocić mnie zcicha
wodą myjesz mnie z chmury,
żeby ubrać na mnicha.
Powstrzymaj się, bo w ziemie
uderzę głową świętą,
twarde boskie me ciemie
i czerep niepęknięty
wniosę w górę na pogwałt
przeciw Twojej osobie,
który deszczem Ty z pował,
leżąc w górnej kolebie
po wiek wieków mi czynisz
jakbym nie z tej był gliny
co i Ty ulepiony.
Nibym – wyznaj no przecie
nie z kamienia stworzony?
Byłbym może tak wieka,
sam to przecie no powiedz,
gdy człek co uciekał
nie otworzył mi powiek.
Nie chcę ja swoich kości
niebu zdawać do piekieł
wolę tu do starości
kłaść się w ziemię z człowiekiem.

VI

Miły Ameryku
szyja na rzemyku
chyba cię powieszą
na pociechę biesom.
Po cóż kamieniało
Twoje święte ciało
teraz będzie w piekle
oj! diablo topniało.
A tu ci jodełki
swe korony złote
nachylają stryczkiem
pod Twoją ochotę.
Gdy ty się wyprężysz
one się wyprężą
swój oddech poszerzą
a twój nieco zwężą.
Będziesz w górze widział.
aż ludzkim sposobem
rozstawisz w powietrzu
nogowiny obie.
Zawiśniesz w gałęziach
na jodłych ramionach
i w drodze do nieba
po raz drugi skonasz.
W górę będziesz szedł po jodle
z jej grzesznych korzeni
aż cię olśni słońca odlew
i snopek promieni.

Maciej Chętny

3-5 sierpnia 1945 r.

W dniach od 3 do 5-tego sierpnia ubiegłego roku odbył się pierwszy w wolnej Polsce Zjazd Pisarzy Chłopskich w Warszawie. Zjazd zorganizował Związek Samopomocy Chłopskiej. Na zjeździe w ogniu dyskusji znalazła się sprawa pisarstwa ludowego i jak to można było z góry przewidzieć zagadnienie stosunku wsi tak do resztek tradycji „kultury ludowej" jak i do czekającego ją obowiązku włączenia się we współczesną cywilizację europejską.

Podstawa debat okazała się więc o wiele szersza niż programowy jej punkt wyjścia. We wspomnieniu rocznicowym fakt ten szczególnie pragniemy podkreślić.

Literatura jest funkcją życia społecznego i wraz z nim przechodzi ściśle zależne koleje historycznych przemian.

Zjazd zgromadził pisarzy chłopskich i tych w tradycyjnym znaczeniu **ludowych** i tych w nowczesnym, pisarzy **całego narodu**. Ale nawet pisarze pierwszej grupy, jak Bojarczuk czy Czuła, w których żyje jeszcze ten sam impuls, nadany w ostatnim ćwierćwieczu XIX w. przez Szarków, Słomków, Kurasiów, Magrysiów i Witosów, dowodzą niezbicie, że wieś polska znajduje się od pół wieku w okresie kulturalno - przejściowym. Pisarstwo ludowe jak to próbowano przedstawić — nie jest tylko wyrażeniem w piśmie treści kultury ludowej. Kultura bowiem ludowa jako formacja socjologiczna była dotąd sobą, dopóki właśnie obywała się bez piśmiennictwa i wiedzy książkowej. Sięgnięcie do pisma i druku to sięgnięcie po **specyficzną**, — dla wyższej kultury wartość.

Właśnie pismo w warunkach społecznych wsi musiało się stać czynnikiem przesądzającym ostateczne wyjście warstwy chłopskiej z ostatnich tradycji kultury ludowej. I wszystkim żądaniom oświaty, jakich manifestacyjny wyraz dawał Ruch Ludowy na przestrzeni 50 l., przypisać należy to właśnie dążeniu do... wyjścia z przeszłości. Oświata bowiem to wiedza różnych specjalności, ważna nie dla samego tylko poznania, ale przede wszystkim dla działania w myśl ich wskazań.

Oświata zatem to nieuchronnie droga do nowych urządzeń technicznych, nowych form produkcji i organizacji społecznej.

Na zjeździe przed rokiem pomieszano obronę interesów warstwy chłopskiej z obroną kultury ludowej. Dwa te interesy znalazły się dziś w sprzeczności.

Mieczysław Grad próbował dać definicję „osobowości człowieka z ludu". „Ten klimat duchowy będący rezultatem odwiecznego współżycia z ziemią, to wszystko wyznacza ludową osobowość".

Odwieczne współżycie ludzkości z przyrodą dało nam również przemysł fabryczny, wynalazki w dziedzinie techniki, chemii, fizyki i t. d. zatem Grad wskazał na pewien typ kultury współżycia z przyrodą na wsi, nie na sam fakt współżycia. Ale w takim razie ten typ kultury dla samych zainteresowanych jest już dawno nie wystarczający, on to gnębi ich nędzą i ciemnotą, kiedy obok świat śmieje się bogactwem i wiedzą.

Grad mniemał, że istnieje bezpośrednia droga rozwoju chłopa przez rozwój **wewnętrzny samej „kultury ludowej"**. Jako przykład podawał Kasprowicza. Wszak u niego — inteligenta — pozostał ów chłopski klimat „odwiecznego współżycia z ziemią".

„Stare chaty, nędzne chłopskie chaty...
Dziś wy dla mnie wspmnień skarb bogaty
Ale wspomnień co łzawią obficie
Hej, czy przyjdzie czas co łzy te
spłoszy?"

To w starych nędznych chatach tkwi ten klimat. A jeśli one znikną, ustępując miejsca kamieniczkom lub kiedy conajmniej będziemy je ulepszać — to co się stanie z „ludowym klimatem"? Grad chciał bronić tego klimatu, ale wraz z nim trzebaby było bronić chłopu dostępu do szkół technicznych, do władzy i odpowiedzialności za naród, do zdrowia i dobrobytu. A Grad tego nie robi, przeciwnie, po roku w „Młodej Myśli Ludowej" pół numeru poświęca wykazowi uniwersytetów w Polsce ze szczegółowymi informacjami. Może wobec tego on i inni broniący „klimatu", zastanowią się w rocznicę Zjazdu nad tym, czy wyższość kulturalna polega na prostym uszlachetnieniu tego co było, czy na zastąpieniu jednego systemu kultury przez drugi — wyższy. Że zatem, co innego jest definicja sobowości chłopa — **historyczna**, a co innego — **programowa**, definicja **wzoru przyszłości**. I elementów na zbudowanie tego wzoru trzeba już szukać w stosunku przyrody do **nowego systemu środków** jej opanowania.

Zofia Solarzowa mówiła na zjeździe:

„Wszystko, co od chłopa pochodzi jest nieefektowne i niedostrzegalne, a w gruncie twórcze i uniwersalne, bo wieś sama sobie zmuszona jest stwarzać warunki bytowania." Oto przykład systemu środków opanowania przyrody, jaki cechuje tradycyjną wieś. Cóż z tego, że i w tym jak i w każdym systemie występują objawy twórczości. Decydujące są obiektywne wyniki twórczości. I wiadomo, donioślejsza rolniczo jest twórczość Instytutu Puławskiego, czy Instytutu Miczurina niż bezpośrednia twórczość chłopa na swoim zagonie. A właśnie w tradycyjnej wsi taka nadbudowa w stylu Instytutu Puławskiego nie miała miejsca i nie tylko nie była przewidziana, ale z góry była wyłączona autorytetem praktycznej mądrości, opartym o zwyczaj przekazywany z dziada pradziada. Na tej sztywności gospodarczej opierał się właśnie kult przodków i rodziny, na czymże polegała więź gromady jak nie na zunifikowanym, jednym wzorze rolniczym. Zofia Solarzowa wymawia robotnikom, że są traktowani „mechanicznie" a tylko w gromadzie wiejskiej jest respektowana cudza indywidualność. Gdzie tu indywidualność jak wszyscy robią to samo i tak samo? Magrysia wyśmiewają sąsiedzi za próby nowatorstwa w uprawie. Wyśmiewają jedną z pierwszych Indywidualności właśnie. Kuraś chowa swoje pisaniny i gazety, bo „to łyżki żuru nie warte" według opinii sąsiedzkiej. Elementy na tworzenie indywidualności, są niestety, importowane na wieś. Z wyższych systemów miejskich, tak, choć dr. Spytkowskiemu wydaje się, że „kultura miejska zatraca swą atrakcyjność" a zapomina, że on sam zawdzięcza jej właśnie możliwość „naukowego" dąsania się na nią. Zofia Solarzowa widzi na wsi jeden wzór rolnika a w mieście tysiące zawodów i nie umie wyprowadzić z tej różnicy właściwych wniosków, że to chyba w mieście jest dżungla indywidualności, a nie na wsi. W mieście robotnik po wyjściu z fabryki wejść może w bardzo zróżnicowane kulturalnie środowisko. To chyba duża szansa dla „osobowości", której nie miał chłop w tradycyjnej wsi i w tradycyjnej wsi ani jej nie chce ani nie może mieć. Kto broni „klimatu" wsi tradycyjnej, ten chyba nie źróżnicowanych indywidualności pragnie, a przeciwnie, jak najbardziej upodobnionych, seryjnych.

Tyle w ważną rocznicę!

Jan Marcinek

Straszny rok

(Fragment z poematu)

Wójt lat przeszło pięćdziesiąt liczący, chłop śniady,
Jak pracował w stodole, tak zasiadł do rady.
Ubrany w zgrzebne portki podarte i bosy
Już dobrze koło uszów bieleją mu włosy.
Twarz owalna, spokojna, wąsy kędzierzawe,
Nos tępo zakończony, oczy siwe łzawe.
Koszulę ma pod szyją sznurkiem zawiązaną
Z płótna własnej roboty, pasem przepasaną.
Na pasie wisi torba z płótna, a w niej chował
Worek z tytoniem, który wyjął i ładował
Białą fajkę na bączku, cybuch u niej gięty.
Poznać można, że z wójta kurzacz jest zawzięty.
Włożył próchna do fajki, krzesiwem zapalił
A pykając raz po raz kłęby dymu walił.
Coś myślał, gładził ręką swoje łyse czoło
Zdjął okulary, przetarł, rozejrzał się w koło
Otarł wąsy rękawem i rzecze po chwili:
„Proszę pana pisarza, my chwilę radzili
Nad sprawą dróg gromadzkich, lecz mi się tak zdaje
Że u nas po dawnemu ta sprawa zostaje.
Jak trzeba drogi naprawiać to każdy gotowy
Lecz o szarwarku u nas nie może być mowy
Tu nim pan pisarz przyszedł kilku głos zabrało
I przeciwko szarwarkom się wypowiedziało".
Na to pisarz z uśmiechem ozwał się w te słowa:
„O tym także w Byszycach była dzisiaj mowa.
Taksamo była rada gromadzka zebrana
I sprawa szarwarkowa przedyskutowana.
Początkowo nie wszyscy doniosłość tej sprawy
Rozumieli. Ten temat był dla nich ciekawy.
Ja im to wytłumaczył, oni wysłuchali,
Za szarwarkami prawie wszyscy głosy dali.
Jeżeli naprawicie należycie drogi,
To czy kmieć, czy zagrodnik, czy człowiek ubogi
Z prawdziwą przyjemnością będzie dróg używał,
Nie będzie brnął, w kałuży wozu wydobywał
Złamanego z rynsztoku, a sam w błocie brodził —
Ale bezpiecznie jechał, w czystych butach chodził".
Luber podniósł się z ławy, w te słowa przerywa:
— „Wójt mówił, że Starosta do tego nas wzywa.
Ale mnie się tak zdaje, że jak się zgodzimy
Podpiszemy uchwałę, to zrobić musimy
Jeden rok i drugi rok, i tak w dalsze lata,
Człowiek wprawdzie niemłody, wkrótce z tego świata
Zawołają, a młodzi zostaną i będą
Kląć na nas, ciężaru się tego nie pozbędą.
Ja się na to nie godzę". Gawęda powstaje
I mówi: „Moje chłopy, mnie to się tak zdaje
Jak jedni uchwalili to i nam potrzeba;
Za nas dróg nie naprawią aniołowie z nieba".
Jasiurek w Kożuszynie cicho w kącie siedział.
Podniósł się i te słowa nieśmiało powiedział:
„Ja, moje dobre chłopy, jestem tego zdania,
Że Starosta nas przez to do pracy nagania,
Bo mu ludzie donoszą, że trudno przejechać,
Trza uchwalić, głupiego uporu zaniechać.
Ja też stary, lecz chętnie pójdę do roboty.
Trudno darmo, trza chłopcy dołożyć ochoty".
Wójt powstał, podniósł rękę i cisza nastała.
Zaczął mówić: „Szanowna Rada wysłuchała
Mojego przemówienia i pana pisarza,
A co teraz nadmienię niech każdy uważa:
„Są dwa wnioski: z tych jeden Jasiurek postawił.
Kto jest za nim niech wstanie. Nie będę się bawił,
Bo muszę przejść do punktu wkrótce następnego
Więc kto za nim niech wstanie". Jeden na drugiego
Pogląda lecz nie wstaje. A wójt ucieszony
Powiada: „Aprobuję. Wniosek uchwalony.
Jeżeli nikt nie przeczy znaczy, że się godzi
Więc jednogłośnie wniosek Jasiorków przechodzi".
Po tych słowach powstaje, za obrazkiem szuka,
Lewej ręki palicem po czole się puka.
Wyjął plik aktów, z których otarł pajęczynę,
Coś w nich szuka, przybrawszy urzędową minę
Radni patrzą z wyrzutem jeden na drugiego,
Nie są zadowoleni z przebiegu takiego,
Jaki sprytny wójt nadał tak poważnej sprawie,
Jednak żaden protestu z radnych nie zakłada.
Dłubią we fajkach, mruczą, kręcą się na ławie.
Chociaż zły, czuje niechęć do swego sąsiada.
Pisarz pisze w pośpiechu, nie traci i chwili,
Ani się zastanawia, ani się nie myli.
Syczy pióro jak gęsi dziób, gdy owies zbiera.
A wójt zdjął okulary, papierem wyciera.
Założywszy na oczy, znowu zaczął szukać,
Z niecierpliwości zaczął palicami pukać
Po stole, wreszcie mruknął: „Do ciężkiej cholery
Z pewnością baby aktem owinęły sery".
Spostrzegł żonę przy kuchni, woła ją do siebie
I pyta: „Nie wiesz, matka, kto mi w aktach grzebie?"
„Ja ci tam, ojciec, w aktach wcale nie grzebała
Tylko przedwczoraj Hanka serki nakrywała



Typ dziada kalwaryjskiego

Jakiemiś papierami. Z pieczątkami były,
Bo by nam serki muchy spaskudziły" —
Rzekła żona. Wójt na to: „Idź przynieś te akta
O ile nie zabrała je Hanka do miasta".
Żona wyszło. Po chwili wróciła z aktami.
Poznać zaraz — chroniły serki przed muchami:
Były mokre, w dodatku dość gęsto znaczone
Punkcikami czarnymi, pomięte, splamione.
Wójt się nawet na żonę nie bardzo pogniewał.
Wziął akta, wyprostował, rękawem ocierał
I mówił do obecnych: „Tak, to tak, z babami,
Nakrywają ser, masło ważnemi aktami".
(Niektóre są zmoczone, serem powalane)
Oczyściwszy cokolwiek arkusze podane
Podsuwa pisarzowi, pisarz głową kiwa
W te słowa się do wójta półgłosem odzywa:
„Tu jest ważny akt, a taki zniszczony.
Musi być wypełniony, Starostwu zwrócony.
A tu jak na nim pisać i jak zwrócić taki?"
„Mnie się już zaczynają kręcić w brzuchu flaki".
Mówi wójt, łyse czoło prawą ręką skrobie —
Ja się tu dość nagadał, Boga naobrażał.
Ale będzie to człowiek na wszystko uważał".
„Gdzie wójcie reszta aktów?" — pisarz zapytuje —
„Bo nam jeszcze jednego, ważnego brakuje".
A wójt na to: „To dobrze, na półce poszukam —
Nie znajdę go to Hankę, cholerę, zaszturkam".

Piots Chmura

„Chłopski świat"

Pod takim tytułem wychodzi miesięcznik „**poświęcony sprawom światopoglądu i społecznej ideologii chłopskiej**". Redaguje go Józef Niećko.

W jednym z numerów czytamy: „Ojczyzna, to nie napowietrzna jakaś abstrakcja, lecz wszystko, co z ziemią ojczystą związane: wieś i miasto, człowiek i mowa, przeszłość i przyszłość, dorobek materialny i idealny".

W tym cały sęk, że „wszystko" jest tylko potencjalną ojczyzną, a ojczyzna historyczna a coś „ojczyźnianego" wyłania się zawsze z konkretyzującego wyboru i określenia.

„Chłopski Świat" ma natomiast skłonność wracania wszystkiego **konkretnego** do wszystkiego **potencjalnego**. Powinien też w podtytule uzupełnić „światopogląd i społeczną ideologię chłopską" zwrotem „wytwarzamy **w napowietrznej jakiejś abstrakcji**". To nie żart recenzenta, smutna, niestety, prawda.

Cóż jest dla tego pisma, działającego w interesie warstwy chłopskiej orientacyjnym, historycznym punktem wyjścia? Ni mniej, ni więcej jak przekonanie, że „**walka złego z dobrym trwa odwiecznie**. Żadne z pokoleń nie może się uchylić od udziału w niej".

Żeby tyle widzieć, nie trzeba chłopu czytać miesięcznika wychodzącego pod datą **1946**, a zawierającego akurat to, co od wieków słyszał na kazaniu i co mu wcale nie pomogło zwalczyć rzeczywiście istniejącego złego stanu gospodarczego, społecznego, zdrowotnego itd.

Ale „Chłopski Świat" śpieszy z objaśnieniem, co jest dla wsi dzisiaj **dobre**. Mianowicie: „Będziemy walczyć o Polską syntezę, o zjednoczenie polskiego ducha, o narodową formę dla żywej, a przecież rozsypanej treści". Tego inaczej nazwać nie można, jak „napowietrzną abstrakcją".

Jesteśmy tedy zmuszeni zastanowić się: na kogo jest obliczone pismo?

Cytowane zdania reprezentują dwa typy wypowiedzi charakterystycznych dla „Chłopskiego Świata". Jeden to — ogólniki, drugi — bełkot myślowy. Komu na wsi może się to podobać? Do jakiej tradycji myślenia nawiązuje „Chłopski Świat"? Wydaje się, że do **bardzo zacofanej**. Oto obraz wsi, gdzie żywą jest sentencja: jak „Kuba Bogu, tak Bóg Kubie", gdzie w kościele chłop słyszy: życie to walka dobrego ze złem. Nasz opis nie sięga już czasów, kiedy mu ułatwiano zrozumieć te siły obrazowo, zło to diabeł z rogami i kopytem, my już mówimy o tym stanie umysłowym wsi, kiedy właśnie z satysfakcją chłop operował pierwszymi pojęciami, jakie zdobył ze szkoły dla wszystkich — kościoła.

Były to pojęcia moralne: sentencje, alegorie, symbole, z treści i formy ponadczasowe. Świat, który przy ich pomocy można sobie wyobrazić, ukazywał się raz na zawsze określony ogólnikami o przenośnym najzupełniej pozbawionym konkretności i ścisłości znaczeniu. Były to wszak figury językowe, pochodzące sprzed paru tysięcy lat, a i wówczas tam gdzie powstawały rodziło je środowisko rozmiłowane w przypowieściach rodziła je kultura statycznego i dlatego sentencyjnego Wschodu.

Do tej tradycji dołączyć trzeba i ową uznaną niezrozumiałość „nadobłocznych" oracji plebańskich i obrzędowe brzęczenie łaciny. Wszystko to razem było pierwszym, wspaniałym teatrem i uroczystością chłopską. Przybyły jeszcze później sądowe i urzędowe zwroty. Bania niezrozumialstwa rozbita nad wsią weszła w tradycję „**głębszego" myślenia**. Ozdobnie, makaronicznie i niejasno, oto wzór wypowiedzi chłopskiej na przełomie „starowiernych" i nowoczesnych dziejów wsi. To przeczekiwanie na manowcach zapóźnienia kulturalnego trwa już pełne stulecie.

Otóż „Chłopski Świat" liczy chyba na ten stan przeczekiwania i kontynuuje w najlepsze tradycje eksploatowania szacunku chłopa wobec uroczystego niezrozumialstwa.

„Chłopski Świat" nadmienia niedwuznacznie, że sprawcą kryzysu przed wojną był **rozum**, że rozbestwiony człowiek tej wojny był „**ucywilizowany**". „Świat nauki i wiedzy jest produktem czystego rozumu. My zaś pójdziemy jeszcze dalej, dopowiadając — jest produktem czystego rozumu, a nie serca".

Oto tradycja symbolów. Chłopi ją zrozumieją. Rozum to — zło, serce to — dobro. Walczmy o „polską syntezę", z której wyleci bardzo nieliczny w porównaniu z europejskimi narodami korpus uczonych. Bo przecież Niećko nie łudzi się, że jego alegoria jest pochwałą obskurantyzmu. Przy żywym wciąż kompleksie niższości u chłopów, co można obserwować nawet na krajowych zjazdach, gdzie działacze przedrwiwają uczoność i gębują, że damy sobie radę „chłopskim rozumem", „chłop i bez szkół ma dość zdrowego rozsądku" — to się nazywa budować fundamenty pod „ochlokrację", a nie demokrację.

„Chłopski Świat" myśli pewnie, że taki Pasteur, co to wynalazł lekarstwa na choroby, to wyjątkowa synteza: rozumu i serca. A Watt, wynalazca maszyny parowej, źródła współczesnego przemysłu — to kto? A fizycy — Amper, Faraday, a Edisson (żarówka), a Daimler (samochód), a Marconi (radio), a sto tysięcy innych? Przecież swoje oskarżenie nauki o „brak serca" realizuje Niećko nie wzburzonym sercem, a telefonem redaktorskim, maszyną rotacyjną (nie dawny wynalazek) fotografią z Witosem który w ten sposób ma popierać jego irracjonalną ideologię. Rozwożą mu pismo pociągi, na papierze z fabryk, a tylko czytać będą je chłopi, którzy za mało liznęli wiedzy, aby redaktorowi „Chłopskiego Świata" odpowiedzieć, że to jemu brak rozumu, aby okazać serce nauce i uczonym.

„Świat nauki i wiedzy" (w stopniu w jakim rzeczywiście nim jest) nie jest sprawcą nierówności społecznych, nadprodukcji a zarazem nędzy. Posługując się w historycznym życiu społecznym kryteriami dobra i zła niewiele można z niego doprawdy zrozumieć. A czas by już był, aby „Chłopski Świat" wiedział, że nierówności społeczne to dzieło klas panujących, jak rycerzy w średniowieczu, jak „mydlarzy" w epoce kapitalizmu. Jedni zaś i drudzy najoporniejsi byli do zanurzenia się w źródle wiedzy. Oni ją tylko zastosowywali do swojego planu organizacji życia społecznego. Polityka jest wciąż dziełem nie naukowców, a właśnie takich niedouków, jak redaktor „Chłopskiego Świata".

Wierny tej tradycji J. Dec rozprawia się z filozofią materializmu dziejowego bez cienia odpowiedzialności intelektualnej.

„Nasze stanowisko światopoglądowe nie wynika z koncepcji filozoficznej ani też z żadnej sztywnie sformułowanej doktryny społecznej. Jest ono głosem **wolnego twórcy chleba**".

„A człowiek pracy rolnej — mimo wszystko, co się o nim mówi — zachował to, co powiedział A. Mickiewicz. Szczere uczucie mocniej do niego przemawia, niż mędrca szkiełko".

Właśnie J. Marcinek w poemacie „Straszny Rok" przedstawia głosy „wolnych twórców chleba", ale to jest rok pański 1846. Od tego czasu „mędrca szkiełko" uratowało wieś od głodu (Mendel, Liebig). Uczeni wynaleźli sposób na użyźnienie gleby, podrasowali inwentarz żywy, nasiona, szczepionki, dali narzędzia i wiedzę rolną, uratowali od epidemii, rozwinęli przemysł, który jest warunkiem opłacalności rolnictwa i warunkiem „wyższej stopy życiowej".

Ale Dec w sto lat później ma wciąż wrażenie, że chłop jest „wolnym" twórcą „chleba". Sam sobie i bez nikogo. A może od uczonych chciałby brać jedną ręką, a drugą wyczyniać zyg... zyg... dalej będę bez koncepcji filozoficznej, samo uczucie mi wystarczy?

Można i tak, ale wówczas: „jak Kuba Bogu tak Bóg Kubie"!

Jan Aleksander Król

Co to jest „psychika wieśniaka"?

PROSZĘ O PUBLICZNĄ DYSKUSJĘ

Otrzymałem z Min. Oświaty zaproszenie do wydania „oceny o przydatności w szkole średniej i bibliotekach nauczycielskich" **„Zarysu Nowszej Literatury Ludowej"** prof. St. Pigonia. Książkę przejrzałem i po namyśle zdecydowałem się dać odpowiedź na łamach „Wsi", aby krokiem tym skłonić pozostałych zaproszonych recenzentów, jak również zainteresowanych do dyskusji **publicznej**. Trudno bowiem zamknąć w aktach ministerstwa dyskusję nad pracą, która przez wydanie książkowe stała się faktem społecznym, prowokującym do najdalej idących zastrzeżeń. Do wystąpienia poczuwam się tym mocniej, że tygodnik „Wieś" na przestrzeni roku zamieścił dostatecznie poważną ilość materiałów artykułowych, literackich i socjograficznych, ujmujących zagadnienie literatury i kultury „ludowej", aby wyniki naszych badań mogły uprawniać do zajęcia dojrzałego i określonego stanowiska.

Dyskusję, którą podejmuję — celowo — ograniczam do wybranego a zarazem wstępnego i **założeniowego** dla prof. Pigonia — zagadnienia:

CO WYRAŻA I WYRAŻAĆ BĘDZIE LITERATURA LUDOWA?

Zdaniem prof. Pigonia „w literaturze ludowej wypowiedzieć się pragnie **psychika wieśniaka**". Byłoby to niewinnie — banalne zdanie, gdyby znaczyło nie więcej niż to, że w wytwarzaniu każdego dzieła bierze udział psychika. Nikt w to nie wątpi. Ale wątpić już można czy celem twórców i producentów jest właśnie wypowiedzenie psychiki, a w szczególności / czy jest to wyłącznym celem literatury ludowej? Prof. Pigoń zakłada, że właśnie „nowość tej gałęzi literatury uwarunkowana jest... przez nowy typ psychiki, który tu dążyć będzie do wypowiedzenia się".

Mamy więc do czynienia z osobliwą tezą: Literatura ludowa ukazuje „psychikę wieśniaka" a nie historyczno-kulturalne treści jego osobistego i społecznego życia.

Prof. Pigoń przedłuża tradycję szkoły Ignacego Chrzanowskiego. Na miejsce zmiennych, historycznych losów warstwy chłopskiej i jednostek z jej środowiska wprowadza, w stylu mistrza, **ponadczasowy, trwały wzór... psychiki chłopskiej.**

Idzie mu wprawdzie o psychiki „ten kształt, jaki jej nadały warunki bytowania w odrębnym zespole socjologicznym".

ale po pierwsze, ów zespół socjologiczny ujmuje statystycznie,

po drugie, wyposaża go w ograniczony układ czynników wpływających, zredukowany wyłącznie do — determinant geograficznych.

Wstępne rozróżnienie przeprowadza w zestawieniu z miastem. Znaczy to, że w „psychice wieśniaka" (w konsekwencji — w literaturze ludowej) nie ma elementów miejskich. Dlaczego? Bo wieś od miasta dzieli: inny typ pracy i inny stosunek do ziemi.

Ludzie miasta wg Pigonia, panują nad przyrodą, na wsi przyroda panuje nad ludźmi „Chłop na wsi żyć musi wciąż bezpośrednio pod utwierdzeniem nieba... zdany na łaskę żywiołów".

Miasto oddaliło się od natury, natomiast życie wsi nadal wyznacza środowisko geograficzne. „Praca jego (chłopa) stoi w najściślejszym związku z życiem przyrody, zależna od jej tajemnic pełnego toku przemian". W rolnictwie zatem, jako typie pracy, widzi prof. Pigoń po pierwsze: bezpośredni dyktat ziemi, po drugie jego istotę: „oranie". Pochodnymi i zmieniającym się w czasie formami gospodarki nie interesuje się, przyjmując, że i one zostały zdeterminowane warunkami przyrodniczo-geograficznymi, podobnie jak im przypisuje rozwój i trwanie religijności na wsi.

Tak to prof. Pigoń, acz w roli dyletanta, zajął stanowisko znane w socjologii pod nazwą **„kierunku geograficznego"**. Kierunek ten zakłada, że środowisko geograficzne jest zasadniczym czynnikiem, który wyznacza rodzaj zatrudnienia, typ psychiczny, moralny i wszelkie „zjawiska społeczne", zatem pośród nich i treść literatury ludowej.

Literatura ludowa to tyle więc, co **odciśnięcie** w systemie znaków językowych **tych znamion psychiki**, które z kolei same są **rezultatem działania sił przyrody.**

Nie odmawiamy otoczeniu geograficznemu wpływu na życie ludzkie, ale nie zgadzamy się, aby tą wyłącznie determinantą dało się ono bez reszty wytłumaczyć, i żeby nią przede wszystkim należało wyjaśniać życie wsi. A tak właśnie postępuje prof. Pigoń i tę krańcową sugestię narzuca czytelnikowi.

PRZYRODA CZY KULTURA

Portret chłopa, jaki daje nam prof. Pigoń, jest całkowicie wyłączony z zapisu w historię. Pod bezpośrednim „utwierdzeniem nieba", „zdany na łaskę żywiołów", zależny od tajemnic przyrody, „sam jeden w obszarach wszechświata".. Jaki to moment w dziejach ludzkości? Dziesięć tysięcy lat temu, tysiąc, rok temu? Prof. Pigoń odpowie, że charakterystyka ta obowiązuje po przez wszystkie wymienione daty, mało, obowiązuje i na przyszłość „dopóki istnieć będzie stan włościański jako odrębna formacja socjologiczna". A że odrębność jej gwarantuje środowisko geograficzne, które w jego mniemaniu nie utraciło nic na sile i charakterze pierwotnym, można być zatem „dobrej myśli" na daleką przyszłość co do diferentia specifica psychiki chłopskiej.

Żałować nam wypada, że profesor na terenie obcym sobie (socjologia) posługuje się metodą, zapożyczoną z opowieści o dalekich lądach, gdzie literacka gra porównań i przenośni nasyca wprawdzie wyobraźnię czytelnika, ale poznaniu jego nie daje naukowo dostatecznych podstaw. Chwyt, który stosuje prof. Pigoń jest tego samego typu, co gdybyśmy zwrócili uwagę na zależność człowieka od praw fizycznych czy biologicznych. Wiadomo, że nas obowiązują. Ale w naszym historycznym, społecznym i prywatnym życiu ważne są nie one same, a **nasza gospodarka** w ich granicach.

„Otoczenie geograficzne — jak mówi prof. Szczurkiewicz*) — to potencjalny warsztat działalności ludzkiej". Prof. Pigoń żartuje sobie chyba kiedy miastu tylko przypisuje traktowanie przyrody jako tworzywa w warsztacie twórczym i produkcyjnym człowieka. To samo dzieje się przecież i na wsi! Odkrycia i wynalazki w zakresie chemii, fizyki, techniki, jakie dokonane zostały w kulturze mieszczańskiej, wcale w niemniejszym stopniu każą się domyślać nowych tajemnic i możliwości natury, niż chłopa graniczne doświadczenia w rytmie i cyklach gospodarki rolnej. I tu i tam graniczymy z nieznanym, co znaczy — **z zależnościami nieopanowanymi.** Ale treścią życia i tu i tam jest właśnie **system kultury** (ustrój społeczny, organizacja gospodarcza), **jakim opanowaliśmy środowisko geograficzne.** Za każdym razem typ tej kultury mówi nam co mamy i czego właśnie nie mamy z bogactw i tajemnic przyrody. W społeczeństwie myśliwskim to samo otoczenie geograficzne „interpretowane" jest inaczej niż w społeczeństwie pasterskim a jeszcze inaczej w rolniczym. Przyroda nigdy nie występuje jako fakt pozakulturalny. Jest widzialna i rozumiana tylko w granicach określonej kultury. Dlatego nie odpowiada prawdzie zwrot, że chłop „zdany jest na łaskę żywiołów". Żywioły drzemią również dobrze w kopalniach węgla, szaleją w hutach, grożą z probówek, z torów kolejowych, z umów politycznych, z nadmiernej populacji, z braku rozwiniętego przemysłu itd. Ale w każdym z tych wypadków określa nas nie sam żywioł, a sposób w jaki my z nim „igramy" czy nim gospodarujemy. Nie żywioł przyrody hula sobie z chłopem, ale chłop cierpi i zyskuje od niego w granicach systemu, jakim opanował go i użył.

Wykopaliska w Biskupinie ukazują nam nie zależność Słowian na ziemiach późniejszych Polan od „łaski żywiołów", a wprost przeciwnie, pokazują imponującą cywilizację techniczną i rolniczą. Wobec przyrody stał wówczas Słowianin uzbrojony w siekierę, motykę, szydło, żarna — w ziarno siewne żyta, pszenicy, prosa, w obłaskawione konie, krowy, kozy, świnie i psa. To mało — powie ktoś. Oczywiście, ale zawsze jest mało, zawsze jest niedość w stosunku do przyrody jako **warsztatu naszej działalności.**

W roku 1820 Stephenson puszczając pociąg o średniej 20 km na godzinę dał początek nowej skali szybkości komunikacyjnej. W parlamencie zwalczano jego wynalazek, przestrzegając przed tempem, które grozi urwaniem głowy. A równocześnie w roku 1820 osiągnięta szybkość nie byłaż wyrazem nędznej łaski „żywiołu" w porównaniu z dzisiejszą szybkością telegrafu, telefonu, radia, samochodu i samolotu?

Prof. Pigoń znów sobie chyba żartuje, kiedy pojęcie przyrody ogranicza do potoku, gleby, nieba i piorunów. I grubo się myli, jeśli sądzi, że w studni z żurawiem jest przyroda, a w rurach wodociągowych już jej nie ma. Jest ona w obu sytuacjach i w obu ujęta w **system cywilizacji.** Różnica jaka tu zachodzi polega na **inności systemów**, nie zaś na panowaniu przyrody na wsi, a nieobecności jej w mieście.

To co się wydaje „przyrodą" jest tylko **niższym układem kultury** w porównaniu z **istniejącymi wyższymi.** W swoim czasie, kiedy kultura rolnicza była najwyższa w stosunku do myśliwskiej i pasterskiej, na tamtych ciążyło piętno dzikości.

To nie sprawa przyrody, że w końcu wieku XVIII w środkowej Polsce puszcze zajmowały blisko 50% powierzchni i chłopi w dużej części to byli myśliwi, smolarze i bartnicy, to nie sprawa przyrody, że w tym samym czasie mieszkali w norach ziemnych, jak pisze Staszyc, że na początku ostatniego ćwierćwiecza w. XIX marła połowa dzieci na wsi galicyjskiej i chłopi „pepłali jeszcze drewnianym pługiem", że w latach osiemdziesiątych, jak notuje Słomka, „kolejne następstwo płodów w gruncie było jak za dawnych czasów", „bo każdy też tej nauki się trzymał, aby nie chybił i nie był wyśmiany" i nie sprawą to „zdania na łaskę żywiołów", że Magryś w 1898 roku mówi: „panie pośle, jest już we wsi zmiana na lepsze, mamy kółko rolnicze"..

Dlatego w psychice chłopa powinniśmy oczekiwać nie śladów przyrody, ale śladów **reagującej na nią kultury.**

RELIGIJNOŚĆ

Religijność chłopów wyprowadza prof. Pigoń z oddziaływania sił przyrody. Niewątpliwie, religie stanowią najdawniejszą formę poznania przednaukowego. Dawały one uporządkowane acz fantastyczne objaśnienie obrazu świata w społeczeństwach koczowniczych, pasterskich, rolniczych... Ale i wówczas nie przyroda determinowała religie, ale one wytwarzały pewien historyczny, możliwy wtedy, system opanowania pojęciowego natury. I o tyle właśnie ją **humanizowały**, t. zn. wyprowadzały społeczeństwa z całkowitego nierozumienia przyrody i osadzały w jakimś jej wyobrażeniu, choć z perspektywy wieków wydawać się może błędnym i naiwnym ten krąg znaczeń. W szczególności charakterystyczne jest dla wczesnych religii wypełnianie brakujących ogniw w technicznym i gospodarczym łańcuchu **magicznymi praktykami.** Miały one wyjednać u bóstw pomoc w tym, przed czym wówczas stawał człowiek bezradnie.

Prof. Pigoń **naturalizuje** religię i nie tylko w odległych czasach, ale również współcześnie. Chłop „sam jeden w obszarach wszechświata, wciąż zwrócony być musi w stronę, gdzie ich pierwsza przyczyna i ich Władca. Dusza chłopska... z korným uwielbieniem uznaje ustawiczną jego obecność w biegu świata".

Rozumowanie tu jest następujące: chłop, zawsze „zdany na łaskę żywiołów" szukał i szuka pomocy w **cudzie**, stąd jego odnawiająca się w obcowaniu z przyrodą wiara w bóstwo, t. j. siłę kierującą dowolnie natura. Stąd jego cześć i posłuch dla bóstwa, aby w zamian uzyskać od niego wyrównanie własnej technicznej bezradności.

To jest krańcowe stanowisko „geograficznego kierunku" w socjologii, pozwala ono widać zapomnieć prof. Pigoniowi o tym, że chłop polski jest religijny nie **naturalnie, a chrześcijańsko** t. zn. nie dlatego, że działa na niego przyroda, ale że działa od stuleci i od stuleci bez konkurencji, **instytucja — kościół i jego organizacja.**

Teraz my z kolei odwróćmy zagadnienie. Nie „zdanie na łaskę żywiołów" czyni chłopa religijnym, ale istnieje i narosła tradycja zinstytucjonalizowanej religii to są czynniki hamujące jego cywilizacyjny i kulturalny postęp. Bo to plebania podtrzymuje tradycję zastępowania wyższego ogniwa technicznego, którego brak bije chłopa chorobą i nędzą, właśnie aktem ufnego oddania się na łaskę opatrzności i w tym dopiero sensie na „łaskę żywiołów".

I prof. Pigoń, który wyświecił ze swej książki „zaraniarzy" uczynił szkodę dla historycznego zrozumienia rozwojowych procesów warstwy chłopskiej, na przełomie XIX i XX wieku.

„Zaranie" bowiem głosząc potrzebę świeckiej oświaty i wyższej sprawności rolniczej (pierwsze Szkoły Rolnicze), odegrało rolę spóźnionej **„reformacji" ludowej**, jaka warstwy chłopskiej nie przeorała u nas ani w XVI wieku, ani potem. Spóźnionej ale koniecznej aby strząść średniowieczne tradycje kultury ludowej na wsi, t. zn. w pierwszym rzędzie właśnie **średniowieczno-religijne.**

MORALISTA APROBUJE SWOJSKĄ „SUROWIZNĘ"

Dlaczego prof. Pigoń z przyjemnością odnotowuje, że „wpływ szkoły zbyt jest krótkotrwały by mógł przekształcić aparat ich (pisarzy ludowych) umysłowości"? Dlaczego cieszy się, że „nowoczesne prądy kulturalne kosmopolityczne przechodzą poza wsią odległymi stronami"? Dlatego, że w dalszym ciągu pisarze ludowi tkwiąc „w swej rodzimej surowiźnie mniej są narażeni na niebezpieczeństwo odswojszczenia".

Oto mu idzie. O swojskość, to znaczy o utrzymanie **rodzimej surowizny.** A z tą surowizną nie ma żartów. Popiera ją ex katedra, autorytet dla którego ważniejsze od kryteriów historyczno-kulturalnych są kryteria geograficzno-przyrodniczego determinizmu. Otoczenie geograficzne wyznaczyło i nadal **powinno** wyznaczać osobiste i społeczne formy życia wsi, aby surowizna czyli stempel „łaski żywiołów" mogła uchodzić za trwałą i charakterystyczną poprzez wszystkie wieki cechę chłopskości.

Przy takim ujęciu można kusić się o wieczniotrwały, ponadczasowy portret psychiki czy duszy chłopskiej. Że powstał on z redukcji wielu oddziaływujących czynników do jednego, że wykreślono z niego wpływ zmiennych, historycznych, wyrażających humanistyczną treść nawarstwiających się w tradycji wiejskiej różnych systemów kulturowych, a na to miejsce podstawiono jeden jedyny przyrodniczy czynnik („żyć musi wciąż bezpośrednio pod utwierdzeniem nieba") to w Profesorze Pigoniu nie tylko nie wywołuje niepokoju i podejrzeń co do poprawności naukowej podobnych spekulacji, ale zadawala również w pierwszym chyba rzędzie zbieracza, który nauczył się po swoich mistrzach, Chrzanowskim i Lutosławskim bawić się i w materiale pisarstwa chłopskiego w mistyczne psychologizowanie, zmierzające do budowania ponadczasowej charakterologii, bawić się w duszoznastwo warstwy chłopskiej, zmierzające do moralistycznych sentencji.

Ale w takim razie jesteśmy bardzo daleko od nauki i jej wyników. I przyroda jako twórca i organizator religijności chłopskiej, przyroda która „wybija się na duszy chłopskiej piętnem wewnętrznej powagi, surowego rygoryzmu moralnego wobec życia i skupionego uciszenia wobec śmierci" to jest przyroda z **budujących opowieści.**

Conajmniej w zamierzeniu! Ale czy one rzeczywiście budują, czy też utrwalają megalomanię wstecznictwa kulturalnego?

Wychodzą na przeciw chłopskiemu grupowemu kompleksowi niższości i dają mu wyrównania. Ale znów pytamy, czy jest właściwym wyrównaniem to schlebianie „wewnętrzną powagą", która ma cechować duszę chłopską? Z języka jakiej nauki pochodzi ten termin? Z żadnej. To jest typowa tkanka werbalna moralistów, którzy bliżej nie określonymi wartościami etycznymi obdarzają na kredyt sympatyczne im środowiska. „Rygoryzm moralny"... to mało, posiadać go może wiele środowisk, idzie o to **„jakiej moralności** rygoryzm, o jej treść kulturową, o tło społeczno-historyczne, które ją uzasadnia. „Skupione uciszenie wobec śmierci"... To nie przyroda ureligijniająca sama robi, to pewien bardzo jeszcze powszechny system gospodarczo-cywilizacyjny w jakim przyroda na wsi występuje, on to gasi dzieci, jak świece, on trzyma na wyrku latami zdychających naszych dziadków i babki, albo latami nosi ich kiedy nie zawarowali sobie „dożywocia", o żebraczym kiju. Oto skupione uciszenie wobec śmierci. Propagujmy je, jest ono rzeczywiście naszą swojszczyzną w porównaniu ze wsią duńską, szwajcarską i szwedzką. Ale, na Boga, nie czyńmy jej sprawą przyrody, bo to jest sprawa kultury, z której trzeba wyjść!

CHŁOP WSZYSTKO ROBI „DOBRZE"

„Typowi pracy zaś zawdzięcza on (chłop) przyrodzony w postępowaniu ład gospodarki, instynkt obowiązku i poczucie odpowiedzialności, za całość życia". To mówi prof. Pigoń. Nie rozumiemy! Jeżeli praca chłopa jest zależna od „tajemnic przyrody", „zdana na łaskę żywiołów" to za pozwoleniem, skądże ład, skąd instynkt obowiązku i poczucie odpowiedzialności za całość życia? Znów sobie profesor żartuje.

Czegoś tu się trzeba konsekwentnie trzymać. Proponujemy „łaski żywiołów", ale przy takim ich rozumieniu, które sprawcą dezorganizacji pracy rolnika, małej intensywności produkcyjnej, nędzy, brudu, braku oświaty i szerszych zainteresowań, czyni nie siłę samej przyrody, ale siłę warunków niższej cywilizacji i treść jej konkretnych reguł technicznych, obyczajowych i szans materialnych.

Wszystko — a wiele ma chłop rodzajów prac — robi on — powiada prof. Pigoń — **dobrze!** Zawsze i wszystko dobrze. Na czym prof. Pigoń opiera ten zgeneralizowany sąd? Czy powstał on w wyniku badań empirycznych, żmudnych statystyk rentowności, ankiet socjograficznych? Nie, powstał z czystej dedukcji. „Pracując zaś na własny użytek uniknąć musi partactwa". A któż w rezultacie nie pracuje na własny użytek? Mutatis mutandis na tym polega treść dziejów ludzkich, oglądanych z perspektywy egzystencyjnych potrzeb jednostek.

Niestety ani moralna świadomość „czyń dobrze" ani utylitarna „czyń sobie dobrze" nie przesądzają wyników. Jeśli idzie o rolników pracują przecież i na zbyt, co zresztą także jest działaniem na swój użytek. Ale w jednym i w drugim wypadku jest zgoła inaczej, niż nas chce o tym przekonać prof. Pigoń. W naszą wieś wdzierają się od dawna fragmenty wyższej cywilizacji i kultury. Na samym tylko odcinku gospodarczym wyrażają się one w bogactwie technicznych narzędzi, elit rolnych, nawozów, wiedzy rolniczej, organizacji produkcji zbiorowej w rozmaitych postaciach, w handlu i przemyśle rolnym a jeśli zestawić ten odcinek z resztą wpływów cywilizacyjno-kulturalnych, które wzmagają ambicję do „wyższej stopy życiowej", do zdrowia, kształcenia dzieci, do tworzenia instytucji użyteczności publicznej na wsi, to **w imię jakich kryteriów** można dziś mówić o dobrym siewie, dobrym żęciu, młóceniu, dobrej ciesiółce, dobrej obsłudze inwentarza?

Rzecz w tym, że pomiędzy gospodarczo-technicznym **minimum** wsi a **możliwym maximum** zawiera się olbrzymia przestrzeń wypełniona do dzisiaj chaotycznie mieszaniną elementów różnych stopni i rodzajów wyższej cywilizacji i wyższych kryteriów.

Wieś przestała już być — jakby to powiedział prof. Pigoń — „zdana na łaskę żywiołów, a jak my byśmy powiedzieli — zamknięta w systemie „kultury ludowej" i znajduje się od dawna na drodze, która jest długa, a wymaga szybkiego przejścia aby wieś wreszcie zrównała się z ogólnym, a dla niej nadrzędnym i szerszym układem współczesnej cywilizacji europejskiej. Pomiędzy tymi biegunami każda ciesiołka domu, choćby z szerszym oknem jest zła wobec możliwego bardziej skomplikowanego rozplanowania, któreby przewidywało wiele nowych potrzeb, funkcji i czynności. Każde pojedyncze założenie sadu jest złe wobec możliwości zespołu sadów, potrzeby drogi do miasta, środków lokomocji, spółki czy spółdzielni handlowej i przetwórni owocowej.

Każdy siew jest zły wobec możliwości rejonizacyjnych i przejścia chłopa w roli przedsiębiorcy o zapewnionym zbycie na intensywniejszy, specjalny, typ produkcji rolnej.

Ale prof Pigoń mówi, że wszystko chłop robi dobrze. W tej ocenie wyraża on aprobatę wsi, w której przedłuża się „surowizna", zespół tradycyjnych funkcji gospodar-

---

*) T. Szczurkiewicz: **„Rasa, środowisko, rodzina"**. W-wa 1938 str. 103.

czo-technicznych. Dlatego wymienia zoranie zasianie, żęcie, młócenie, czyszczenie zboża, ciesiołkę. Ten najstarszy, typowy dla Piasta — oracza kołowrót pracy. Głucho w jego opisie o wyższych narzędziach, o wiedzy fachowej, organizacji, przemyśle, zbycie. Cenzurkę „dobrze“ wystawia na pamięć — najbardziej upowszechnionej i zrutynizowanej i najwęższej dlatego, najniższej sztuce rolniczej.

PEŁNIA DUSZY CHŁOPSKIEJ

Chłop oddaje się wielu rodzajom prac. Jaki z tego wniosek wyciąga prof. Pigoń? „Ta różnorakość usprawnionych uzdolnień nadawać musi duszy chłopskiej bogactwo rozwoju i pełnię, nieosiągalną przy miejskim systemie specjalizacji“.

Prof. Pigoń przypisuje przyrodzie nieogarnięte bogactwo elementów. Chłop, poruszający się w tym świecie, wchodzi w wielostronne z naturą stosunki. Ta wielość doznań, i wielość reakcji oddanych w mnóstwie etapów gospodarczego cyklu rocznego, stanowić ma o **„rozwoju i pełni“** jego duszy.

Otóż bogactwo przyrody tak w krajobrazie, jak np. w chemicznych związkach mimo, że znajduje się tu i tam, istnieje dla nas tylko w tym stopniu w jakim nasz system kultury zdolny jest je „odkryć“ i zastosować.

Czas dlatego rozwiać złudzenie, że więcej jest przyrody w krajobrazie natury, niż w kopalniach i fabrykach, niż w retortach fizyków, chemików. i biologów, niż... w książkach przede wszystkim. Czas powiedzieć, że właśnie jest akurat odwrotnie. I najmniej z tajemnic, najmniej z praw ważniejszych dla cywilizacji ludzkości chwytała sieć kultury ludowej, opartej o gospodarkę naturalną.

Dlatego należy zakwestionować przekonanie o szczególnej szansie jaką ma, a raczej miał, chłop dla rozwoju swej osobowości. Jasną rzeczą jest, że łatwiej się rozwinąć w uboższym i niższym systemie kultury. Ale w dziejach ludzkości idzie równocześnie o dwa procesy: o rozwój wyższych kręgów kultury, i rozwój jednostek w ramach „historycznie obowiązujących je systemów. Legendę o „pełnej osobowości“ chłopa wznawia prof. Pigoń w duchu Rousseau, właśnie z „powrotem do natury“, do typu gospodarki naturalnej, do prymitywu samowystarczalności.

I na tym szczeblu obraz wielu czynności wykonywanych przez teg samego człowieka dla zaspokojenia wszystkich jego potrzeb, stawia prof. Pigoń jako wzór osiągania pełni.

Fałszywy to wzór. Co najmniej z dwóch względów. Po pierwsze, fałszuje dzisiejszą rzeczywistość wsi. Kultura ludowa dawno już się „otwarła“ i wieś dziś stanowi pomieszanie elementów wielu systemów kulturalnych. Proces ten jest nie do cofnięcia. Każda próba odwrotu równała by się kataklizmowi ekonomicznemu. Wystarczy przypomnieć miliony emigrantów i pochodzenie naszych robotników, wystarczy przypomnieć 8 milionów ukrytych na wsi bezrobotnych, rozwój oświaty i tradycje jej postulowania, wreszcie współudział wsi we władztwie politycznym.

Zarzut, jaki prof. Pigoń stawia specjalizacji miejskiej, pochodzi właśnie z chęci przedłużenia tradycyjnego na wsi wzoru osobowości. Ale nie sposób zachować tego wzoru nie odrzucając cywilizacji technicznej i nie wracając do **nieistniejącego** już systemu gospodarczego kultury ludowej.

Drugie przedsięwzięcie jest nieosiągalne, pierwsze możliwe i jedynie słuszne. Ale czy to znaczy, że straciliśmy bezpowrotnie warunki na pełnię osobowości? Nie! Znaczy to tylko, że stajemy przed zagadnieniem **innego typu pełni,** tak nie podobnej do odrzuconej, jak systemy, do których one należą. Nowe czynniki naszej pełni to wiedza orientująca nas w problematyce całego świata, to uczestnictwo w nieznanym poprzednio bogactwie dóbr kulturalnych i materialnych. Specjalizacja jest warunkiem nowych powiązań społecznych o światowym zasięgu. Podstawą do niewyobrażalnie skomplikowanej struktury wiedzy i organizacji jej praktycznych wyników produkcyjnych. Trzeba zrozumieć, że ten olbrzymi cywilizacyjny proces jednostka **gwarantuje** miliardowym ułamkiem swojej specjalności, po to aby móc korzystać dowolnie z miliarda możliwości stworzonych przez inne jednostki.

W tym świetle pełnia, jaką za dostateczną za wzorową nawet uważa prof. Pigoń, przedstawia obraz tragicznego ubóstwa wobec pełni, jakiej wymaga nowoczesna Europa i jaką mogą osiągnąć dziś nie jak to było dotąd — jednostki z ludu, ale cały trzon warstwy chłopskiej.

Jan Aleksander Król

W OSTATNIM 30 (58) NUMERZE „WSI“ Z DNIA 28 LIPCA 1946 R.

Adam Polańczyk — **Ostatnia Samosierra;** Tadeusz Rokitniak-Chróścielewski — **O podziemnej liryce warszawskiej;** Leonard Sobierajski — **Jakiej historii chcą chłopi w powieściach?;** Jan Bolesław Ożóg — **Z bojówki;** Stefan Stodolny — **Warszawa w oczach antyurbanisty.** Józef Andrzej Frasik — **Ballada;** Jan Aleksander Król — **Spółdzielczość w ustroju liberalnym;** Piotr Chmura — **Młoda myśl Ludowa;** Roman Bratny — **Rodak;** Jan Marcinek — **Jak pisałem „Straszny rok“...** Piotr Wyrobek — **Wspomnienia o Antonim Stopie;** 2 ilustracje, 8 stron.

Leonard Sobierajski

Nad dokumentami

O przechodzeniu chłopa do innych kręgów pracy

Płyną chłopskie listy do Redakcji. Życiorysy, opisy osiągniętych pozycji społecznych, a często żale z powodu „jemiołowych“ narośli na bujnym drzewie dzisiejszej rzeczywistości. Biorę jeden z życiorysów i dołączony do niego opis, który jest jakby spojrzeniem w powszedni dzień — spraw i zdarzeń *). Właśnie to wsiowe wynurzenie, znakomicie ilustruje nam jedno z palących zagadnień **nowocześnie** pomyślanego społeczeństwa. Jest to problem szukania przez człowieka wsi **nowego** dla siebie **kręgu pracy.** Spójrzmy, jaką drogę wyznaczają warunki socjalne, a właściwie jaką wyznaczały, **biedniackiemu** chłopskiemu dziecku.

Wysiłek wyjścia z „tradycyjnej wsi“

Gospodarstwo czteromorgowe. Chłopak od najmłodszych lat wciągnięty w tok twardej, zużywającej pracy. Rodzina całkowicie wyczerpuje swoje „człowieczeństwo“ w zmaganiach o wydarcie ziemi kęsa chleba. W tej ciężkiej „harówce“ chłopak „ni stąd ni zowąd“ ciągnie do nauki, do książki. Czuje, że tu natrafi na ścieżkę, która go w świat wyprowadzi. Symbolicznie pojęta ścieżka staje się realną, szeroką drogą. Autor życiorysu idzie 120 km. pieszo, by dostać się do „Centralnej Doświadczalnej Stacji Jedwabników“ w Milanówku. Jest to rok 1932. Pamiętamy, że państwo rozwinęło wtedy ożywioną propagandę jedwabnictwa. Przemilczymy, że była to „hurra-propaganda“, która ludziom dobrej woli rzuciła obietnice, aby ich potem nie dotrzymać, no bo sprawy produkcji w ówczesnej Polsce były regulowane na drodze zmiennej „inicjatywy prywatnej“. Ważne jest dla nas, że człowiek wsi podjął propozycję wysuniętą przez państwo.

Była to propozycja jednak zupełnie przypadkowa. Bo dlaczego akurat jedwabnictwo? Kilku przedsiębiorców potrzebowało surowca; skierowano się do jakiegoś „pana z ministerstwa“, zrobiono huczek i puszczono to w „rolniczy lud“. Chłop poszedł na to, jako na jedną z możliwych prac; postępowy chłop szukał sposobów **racjonalniejszego** wykorzystania swojej ziemi. Nie umiano jednak, czy nie chciano mu pokazać **pełnej skali możliwości.** nie odkryto przed nim całej **tabeli** nowych zawodów conajmniej związanych z wytwórczością rolną. Przypadkiem tedy do wsi dociera problem jedwabnictwa, nie pomyślany jednak jako zagadnienie, które stanowiłoby jeden z wielu czynników mających chłopa wyprowadzić z prymitywnego gospodarowania.

Otóż nasz B. Dynda, bo tak się nazywa autor życiorysu, po powrocie z Milanówka sadzi w swojej wiosce i okolicy — drzewka i krzewy morwowe. W pionierskiej pracy natrafia na naturalne w takiej sytuacji opory: niechęć konserwatywnego środowiska do „nowinek“, czasem przekpinki i odwracanie się plecami. Jest sam, idzie luzem, nie ma się dokąd odwołać, rzucono mu w afiszu, a potem w Milanówku zachętę, pokazano możliwości i — „puszczono“ — niech się święci inicjatywa prywatna! Cóż mógł zrobić w tej sytuacji nasz Bolesław, gdy brak zrozumienia w konserwatywnej gromadzie wiejskiej i brak oparcia o jakąś wyższego rzędu instytucję społeczną.

Wyniki? Po paru latach widzimy go w filii „Spółdzielni Mleczarskiej“! Młody chłop ciągle szuka dla siebie kręgu, wyższej technicznie praktycznej działalności! Widać, że kieruje się nie tylko chęcią zdobycia lepszych warunków życiowych, ale że motorem jego działania jest właśnie potrzeba **awansu społecznego.** Jako pracownik mleczarni stara się zwiększyć swoje kwalifikacje: przerabia drogą korespondencji — kurs rachunkowości i gospodarki mlecznej.

Podczas okupacji jest uczniem szkoły handlowej na terenie „Guberni“ i uczy się księgowości. Stąd zostaje w 1942 roku zesłany pod Berlin do obozu pracy. Wojna skończona; gdzież się znalazł ten człowiek, który z takim wysiłkiem starał się poderwać do wyższego życia gospodarczego, społecznego i kulturalnego? I tu właśnie zaczyna się dziwne widowisko.

Chłopska „osobowość“ gotowa do „rozszerzenia się“, a system kapitalistycznej struktury kulturowej

Bolesława Dyndę widzimy teraz jako robotnika podwórzowego w szkole gospodarczej w pobliżu jednego z miasteczek poznańskich. Ciężko tu pracuje, a równocześnie przygląda się temu nowemu układowi, w który się znów prawdopodobnie dostał przypadkiem, przygląda się i notuje. Kierownikiem szkoły jest inżynier - rolnik, a więc fachowiec. Bolesław docenia w nim te jego fachowość: „Porządek jest tutaj ci nie lada w polu zielska wcale nie ma, szkółki są prowadzone wzorowo. W oborach czysto, a inwentarz jest należycie utrzymany. Uczniowie mają dobry wikt, pełni na twarzach, ale cóż z tego, gdy robotnik jest wykorzystany przez mądrość dyrektora“ (Z opisu Dyndy „Ważny As“). Dostrzega on, że w tej całej historii coś jest nie w porządku. Ten młody chłop - inteligent, zdaje sobie sprawę, że szkoła gospodarcza winna być instytucją, służącą społeczeństwu, a tym czasem dzieją się tu dziwne dla niego rzeczy: na czele tej instytucji stoi człowiek o osobowości, ukształtowanej przez system kultury kapitalistycznej. Wprowadza specyficzną atmosferę „sobiepaństwa“. Nie wykazuje najmniejszego zainteresowania dla otoczenia. Jego postawa wobec kręgu ludzi związanych pracą z majątkiem szkoły, jest zdecydowanie eksploatacyjna. Mamy tu właściwie do czynienia z przełożeniem na dzisiejsze stosunki tradycyjnej struktury: dwór — pańszczyźniana wieś, z zamianą tylko nazw; z dziedzica — na dyrektora szkoły gospodarczej i zamiast gromady pańszczyźnianej — grupę robotników i uczniów.

Dobro społeczne, którym jest szkoła gospodarcza z oddanymi do jej dyspozycji wartościami materialnymi: pola, ogród, dom— stają się znów jakby domeną, na której „urzą dza się ktoś“ — tym razem inżynier — rolnik - fachowiec. Gospodarstwo prowadzone wzorowo — tak, mamy pokrycie wobec władz nadrzędnych — tak, ale poza tym pan inżynier wypacza założenie samej instytucji, którą prowadzi, bo jej założeniem jest s.ę „uspołeczniać“. Jej funkcja gospodarcza wymaga bogatszego i innego układu powiązania społecznego. Tu jest szkółka drzew, elitarna hodowla jarzyn na rozsadę. Jednym z czynników rozbudzenia w okolicy chęci do przejmowania z ośrodka szczepionek i nasion to właśnie odpowiedni **stosunek** ośrodka do okolicy. To nie prywatne przedsiębiorstwo, zapowiadające klientowi „swój“ interes i usadzające go w nieufności (jego to potrzeba: kalafiory czy pomidory? czy tamtego przedsiębiorcy wymysł na wyciągnięcie gotówki? Co kształtuje cenę? jakie są gwarancje jakości?).

Ośrodek musi się starać o zaufanie w okolicy, musi ją przekonać, że powstał dla jej potrzeb, w najrzetelniejszej dla niej służbie gospodarczej. Że to o interes okolicy idzie, że cenę kształtują wyłącznie koszta produkcji i to produkcji jak najtańszej. Oto zabiega ośrodek i z tego winien być właśnie dumny, że z roku na rok osiąga cenę coraz przystępniejszą, coraz bliższą mocy nabywczej chłopa. Że zwiększa **jakością** swych szczepionek i nasion dochodowość rolnika, co z kolei pozwoli ośrodkowi na hodowlę nowych rodzajów jarzyn i drzew owocowych.

Ośrodek nie może się izolować od okolicy, nie może „zamknąć w sobie“ i conajwyżej dać się podziwiać przez sztachety, jak w XVIII wieku oglądały zapewne wyrostki wiejskie z rozpłaszczonymi na kratach nosami „pasterskie sceny“ w parkach pałacowych, improwizowane przez piękne, sentymentalizujące markizy.

Ośrodki takie są dziś własnością państwa w tym znaczeniu, że państwo jest gwarantem ich służby dla społeczeństwa.

Z „najemników“ na członków instytucji.

Ośrodek dysponuje dużą liczbą pracowników. Czy mają oni być jak w systemie kapitalistycznym tylko „najemnikami“, zainteresowanymi w ośrodku wyłącznie sumą swo jego wynagrodzenia? Czy ma się tu przedłużyć to, co było charakterystyczne dla systemu liberalnego z jego „wolną grą interesów“, t. zn. i tu ulec ma zniszczeniu **społeczne zainteresowanie,** wyrastające jako nadbudowa pracy zawodowej? Czy i tu ma się spychać pracownika w jego „życie prywatne“ i pozbawiać zasłużonej dumy, zasłużonego udziału w funkcji społecznej jego pracy i jej doniosłości?

Ośrodek jest nowym, wyższym typem instytucji gospodarczej na wsi. Ale w treść tej „nowości“ wchodzi właśnie jej **społeczna** rola. I świadomość tej roli winni posiadać pracownicy. Ich nowy awans społeczny w Polsce Ludowej polega między innymi na tym, że z pracowników **„najemnych“** przechodzą na **członków instytucji.** Oni nie „pracują na...“ oni wprowadzają w **społeczną używalność** tę nową instytucję.

Trudniej to przyjdzie ze starymi, zrutynizowanymi urzędami, ale tu, w ośrodku rolnym, który dopiero powstaje jako nowy typ instytucji społecznej, można to zrobić łatwiej i tym bardziej trzeba to zrobić!

A tym czasem pan Dyrektor Dyndę, tego upartego samouka, pragnącego wejść czynnie w wyższy świat kultury, spycha w gnój, wyznacza mu miejsce w oborze. Nie interesują go kwalifikacje Dyndy, zamiłowania i właśnie wyjątkowa gotowość do świadomej pracy społecznej. Pan Dyrektor używa **niewłaściwie** tego specjalisty, marnuje fachową siłę społeczną. Traci człowiek, którego aspiracje znów zostają stłamszone, i traci instytucja, która go nie wykorzysta w jego najlepszych możliwościach.

Na ośrodku jest Szkoła Rolnicza. Czy młodzi uczniowie mają patrzeć na pracowników ośrodka, na Dyndę samouka - chłopskiego, inteligenta - technika, jak to patrzyli przed nie wielu jeszcze laty praktykanci - administratorzy majątków na „folwarczną siłę roboczą“?

Czy przybyli tu oni tylko po „naukę fachową?“ Czy to nie będą w przyszłości gromadzcy, gminni, powiatowi, agronomowie, albo kierownicy resztówek Z. S. CH.?

Czy taki dystans do pracowników ośrodka to właściwe dla nich wychowanie i czy ono pomoże im się teraz i potem powiązać ze wsią? Dynda czuje się upokorzony. W pracy narzucono mu dawny wzór robotnika folwarcznego. Posłuchajmy co pisze sam na ten temat: „Robotnik musi się tu stytłać w gnoju, błocie, więcej podobnym jest do zwierzęcia niż do człowieka. A cóż dopiero mówić tu o takim, który pracuje przy krowach pana Dyrektora X, gdzie smród w gardle dusi i w oczy szczypie, ten ów facet chodzi jak pijany cały dzień, do południa przy krowach, a po obiedzie trzeba okopywać truskawki, które zarosły zielskiem, ręce mu opadają ze znużenia, a tu znów słychać głos pani Dyrektorowej lub którejś z córeczek, ewentualnie Dyrektora lub któregoś z profesorów, czy nawet zięcia p. Dyrektora — Dynda chodź no, trzeba iść po to, lub po tamto. I chodzi człowiek przez cały Boży dzień, robi jak maszyna. Ale za to p. Dyrektor ma częste wyjazdy ze swoimi córeczkami do większych miast Poznania czy Wrocławia. Wielka ci to figura, na całe miasto...“ (B. Dynda, „Ważny As“). O co ma Dynda żal, którego sobie nawet dobrze nie uświadamia. Otóż nie jest on traktowany, jako członek instytucji, mającej służyć społeczeństwu, o tyle właśnie w tym „wyrobionym“ chłopie zostało upokorzone człowieczeństwo. Dyrektor i Dynda to dwa światy, dwie kultury. Pierwszy jest właśnie produktem kultury kapitalistycznej, zajmuje w każdych warunkach i każdej sytuacji postawę eksploatacyjną, wtłacza współ pracowników w stosunek podrzędności. I dlatego ten wypadek tak jaskrawo dokumentuje to, co prof. Chałasiński mówi o pewnym typie naszej inteligencji, że „stwarza ona klimat moralny, który nie wyzwala z chłopów i robotników poczucia godności i pierwiastków heroizmu, lecz przeciwnie — te pierwiastki tłumi“. Chłop robotnik związany z tym układem wyczuwa to. Widzi on tę „z cicha pęk“ dokonywaną **reprywatyzację,** to robienie ze sprawy społecznej własnego „folwarku“. Dynda jest całą tą sytuacją głęboko oburzony. Zrywa z tym układem, bo czuje się w nim źle ze względu na swój osiągnięty mozolnie światopogląd postępowego chłopa. Instytucji on nie neguje, ceni ją sobie wysoko, nie godzi się tylko, by władali nią ludzie, wychowani w kulturze, która nie zauważa wielkiego wysiłku kulturowego ludzi „kręgu pracy“ takich, jak on. Bo kultura to nie ogłada i pozycja towarzyska, nie „ogólne wykształcenie“ ale raczej, jak u niego, rozwojowe wznoszenie się od pracy niższej i prostszej do pracy trudniejszej, i ważniejszej gospodarczo i bardziej uspołeczniającej.

Nie godzi się na takich kierowników, którzy bagatelizując sobie jego techniczne i społeczne usprawnienie, marnują je dla instytucji.

Państwo dzisiejsze burzy społeczne bariery

Dzisiejsza rzeczywistość pozwala Dyndzie na oderwanie się od nieodpowiadającego mu układu. Może przejść swobodnie do innego kręgu pracy, gdzie wysiłek jego będzie oceniony, a dobra wola w tym wysiłku pokwitowana uznaniem społecznym. Dzień dzisiejszy otwiera szczelnie przedtem zamknięte kręgi społeczne, nie zagważdża człowieka na jednym tylko miejscu, które wyznaczało mu dawniej jego urodzenie i jego środowisko społeczne. Ta wartość właśnie głęboko cieszy chłopa Dyndę. Nie będzie on tylko z racji „urodzenia“ wiecznym robotnikiem podwórzowym. Polska jest dla niego na oścież otwarta. Trzeba chcieć tylko w nią wejść. Dynda chce, ale niestety źle siebie realizuje. Zobaczymy to dalej. Narazie stwierdzamy, że urzeczywistnia on na swój sposób potrzebę awansu społecznego, choć robi to tylko na prywatny użytek.

Marnowanie kapitału społecznego

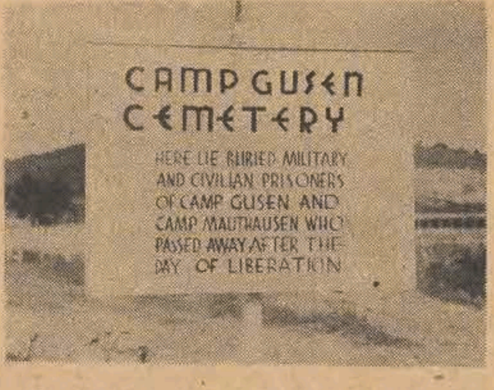
Dynda wyjeżdża na Zachód, otrzymuje pracę we wrocławskim Urzędzie Pocztowym. Bierze to, co znów mu przypadek podsuwa pod rękę. Nie ma w nim zdolności do wyboru właściwego kręgu pracy. Temu człowiekowi wsi, nie pokazano prac i zawodów, w których czułby się na swoim miejscu. Nie powiedziano mu dostatecznie głośno, że właśnie jego miejsce jest w opuszczonej przez niego szkole gospodarczej, czy resztówce, że właśnie teraz ma on szanse zajęcia się jedwabnictwem, ale już nie luzem i samopas, ale w oparciu o instytucje, które tę akcję mogą docenić i planowo przeprowadzać; że ma on prawo zająć kierownicze stanowisko w spółdzielniach mleczarskich, boć ma do tego kwalifikacje. Postępowy chłop Dynda musi poczuć, że ma prawo upomnieć się o właściwe dla siebie miejsce pracy; ma prawo i obowiązek, ponieważ jest odpowiedzialny za dzisiejszą Polskę. Akcji p. Dyrektora tylko przyglądać się nie wolno mu. To jest właśnie zdobycz dzisiejszej Polski Ludowej. Temu nie zaprzeczy nikt, jakkolwiek chciałby szarpać samą nazwę, a pojęcie jej zaciemniać i „zakłamywać“. Dynda „urzędnik pocztowy“ z Wrocławia jednym się broni: zdaje on sobie sprawę z potrzeby kontroli społecznej. Dał jej właśnie wyraz literacki, odwołując się do opinii społecznej i stawiając w ten sposób pod jej pręgierz ludzi, którzy tradycyjny w najgorszym tego słowa znaczeniu „styl życia“ starają się podtrzymać i kultywować, idąc w ten sposób wbrew nowym czasom, których postulatem jest szacunek dla człowieka kręgu pracy, a dążeniem dopilnowanie, by kapitał społeczny, jaki stanowi osiągnięta umiejętność, nie został dla instytucji państwa zmarnowany.

*) (Bolesław Dynda, urodz. we wsi Zarzecin, gm. Zajączków, pow. Opoczno).

Włodzimierz Wnuk

Dwa koncerty

Blok 2-gi był blokiem uprzywilejowanym. Mieszkali w nim więźniowie, zajmujący ważne posady obozowe, jak np. lagerältesterzy, lagerschreiberzy, kapowie głównych komend pracy i t. p., rekrutujący się wyłącznie z Niemców. Poza tym jednak przydzielono na blok 2-gi kilkudziesięciu Polaków, którzy pełnili różne funkcje „wyższego rzędu", jak np. fryzjerów kucharzy, ordynansów kelnerów w jadłodajni SS-manów, a także techników, pisarzy i t. p.



Cmentarz zmarłych po dniu wyzwolenia.

Powód uprzywilejowania więźniów tzw. funkcyjnych był jasny. Władzom obozu zależało na utrzymaniu w formie tych nielicznych jednostek, które trzymają „za mordę" tysiące pozostałych i wyręczają władze w akcji wykańczania coraz to nowych transportów. A że funkcyjnymi byli przeważnie Niemcy, z tym lżejszym sercem kierownictwo obozu zdecydowało się na ten wyjątek. Jeśli zaś chodzi o funkcyjnych Polaków, trudno darmo, pomimo całej nienawiści do nich, nie sposób było poprowadzić obóz, jak należy, bez polskich techników, inżynierów, pisarzy, tłomaczy, czy choćby kucharzy.

Obok tego powodu zasadniczego był jeszcze drugi: funkcyjni stykali się, nieraz przez cały dzień, z wachmanami i oficerami SS, trudno zaś było skazywać pana scharführena na ciągłe obcowaniu z brudnym, zawszawionym, zapuchniętym z głodu, owrzodzonym „häftlingiem".

Blok 2-gi zatym korzystał z szeregu przywilejów. Mieszkańcy jego mieli zawsze nowe, czyste drelichy, odcinające się wyraźnie od zabłoconych i potarganych szmat, noszonych przez innych. Na „dwójce" każdy mieszkaniec miał własną szafkę, sienniki zaś były nakryte prześcieradłami i specjalnie wybranymi kocami. Blok ten, w przeciwieństwie do innych, zaopatrzony był w stoły i stołki. No i, rzecz bardzo istotna, na dwójce było najwyżej stu ludzi, podczas gdy w innych blokach przeciętnie od 250 do 300-tu.

Najważniejszy jednak przywilej stanowiło jedzenie, to jedzenie, które było alfą i omegą życia obozowego, które decydowało o być albo nie być. Na dwójce jedzenia było wbród. „Dwójkarze" otrzymywali większe porcje i to lepsze jakościowo, niezależnie zaś od przydziału na bloku prawie każdy z nich dostawał bokiem „żarcie SS-mańskie", o klasę pożywniejsze.

Nic tedy dziwnego, że mieszkańcy dwójki bardzo często nie korzystali z jedzenia wydzielanego na bloku, oddając je swoim pupilom z pośród tysięcy głodomorów. Przed blokiem 2-gim gromadziły się codziennie tłumy więźniów w oczekiwaniu na ochłap, wyrzucony przez okno lub na łaskawego protektora z dymiącą miską w ręku. Blokowym dwójki był paskudny typ — nazywał się Pastewka — pokręcony, zgarbiony, z wiecznie złą i zagniewaną miną, z twarzą urodzonego zbira. Zniemczony Polak ze Śląska Opolskego, nienawidził Polaków całą duszą. Tłumy głodnych, oblegające jego blok, rozpędzał wodą z sikawek lub gradem kamieni. Niejeden wrócił z pod dwójki z pokaleczoną głową.

Trzeba przyznać, że niektórzy z Polaków, zamieszkałych na dwójce, zapisali się w sercach więźniów gusenowskich złotymi zgłoskami. Dokonywali oni nieraz cudów miłosierdzia, wynosząc — z narażeniem samego siebie — miskę za miską, ratując dziesiątki kolegów od pewnej śmierci głodowej.

Blok funkcyjnych cieszył się jeszcze jednym, duchowym poniekąd przywilejem. W każdą sobotę i niedzielę odbywały się tam ..koncerty. Koncerty z prawdziwego zdarzenia. W skład orkiestry wchodziło dwoje skrzypiec, basy, wiolonczela — członkami zespołu byli wyłącznie Polacy (wśród blisko 500 Niemców i 3000 Hiszpanów nie znalazł się ani jeden muzyk). Orkiestra grała przeważnie polskie melodie, to też nieraz przystawaliśmy pod oknami dwójki, łapiąc uchem dolatujące nas dźwięki.

O wejściu do środka nie było mowy, raz dlatego, że koncerty były tylko dla wybranych t. zn. dla mieszkańców dwójki, względnie dla Niemców z innych bloków, a po drugie, nie należało do przyjemności pchać się między zawodowych oprawców i katów. Takimi bowiem byli dla nas w swej większości Niemcy z bloku 2-go. A jednak i ja byłem raz, jedyny zresztą, gościem dwójki. W bloku tym miałem paru kolegów i oni to zaciągnęli mnie pewnego wieczoru do środka, kusząc obietnicą że wieczoru tego nie pożałuję, że usłyszę same polskie melodie, specjalnie dobrane.

Wszedłszy nieśmiało do przepełnionego wnętrza, usiadłem na skrawku stołka.

Powoli, powoli zacząłem się przenosić w inny świat. Zamroczony ulewą dźwięków, co grały mi od dzieciństwa, odurzony melodiami, które kołysały mą duszę od kolebki i były mi tak bliskie, tak własne — straciłem nagle z oczu i świadomość i to wszystko, co mię otaczało, to wszystko, w czym tkwiłem od owego pamiętnego dnia...

„Czerwone jabłuszko po ziemi się toczy, tego chłopca lubię co ma jasne oczy" — rozlewne, najbardziej mi umiłowane kujawiaki płynęły jeden za drugim. Jakiś błękitny, nieogarniony przypływ z dalekich a bliskich wód uderzał o moje piersi gorącą, srebrzystą pianą. A kiedy doleciały mych uszu majestatyczne, powolne, z pod samego serca mi wyjęte tony góralskiego marsza żałobnego: „Kie Janicka wiedli od Lewoce, zapłakały turnie i uboce. Janicku! Janicku!! Gaśnie na górach śleboda, ej po tobie płyną łzy jak woda" — ukryłem twarz, by nie dać poznać po sobie, by zdusić w rozpalonym wnętrzu spazmatyczny szloch. Wyrósł mi nagle przed oczyma wysoki Giewont, co stoi naprzeciwko mego rodzinnego domu, zazieleniły się tatrzańskie hale, zalśniły pawiookie jeziora. „Gaśnie na górach śleboda" — dla mnie górala zgasła ona podwójnie...

Z duszy mojej, potrąconej przez góralską nutę, rwało się stamtąd, z nad Dunaju, od tyrolskich Alp tetmajerowskie pozdrowienie:

Wichrze! Nad wzgórza, pola nieś
me pozdrowienie stąd,
rodzinną moją pozdrów wieś
i Dunajcowy prąd.

Nagle, ktoś mię potrącił. To sąsiad. Wskazał mi ręką na okno. Był już zmierzch, ale dostrzegłem. Władek stał na uliczce i gwałtownym ruchem ręki wywoływał mię na dwór. Wyraz jego twarzy był tego rodzaju, że ani na chwilę nie ociągałem się. Wstałem — i cały jeszcze pod urokiem pieśni, upojony melodią — przeciskałem się jak pijany ku drzwiom. Władek, blady i drżący, wyszeptał: „To straszne! Straszne!! Kolego, musicie to zobaczyć. Właśnie wy. Chodźcie".

Był wieczór październikowy. Przenikliwy wiatr hulał między barakami, niebo ciężkie, zachmurzone przelewało się ponad nami. Padał deszcz. Wyrwany z ciepłego wnętrza, otrząsałem z siebie kurczowo czepiające się zimno. Szliśmy w milczeniu między blokami w kierunku łaźni. W pewnej chwili pojąłem. Odgłos spadającej wody, pomieszany z jękami i szyderczym śmiechem — mówił mi wszystko.

Doszliśmy wreszcie do baraku, za którego ścianą ukryci, mogliśmy widzieć...

Na wielkiej płycie betonowej kilkadziesiąt nagich istot ludzkich otrzymywało krwawy chrzest. Na upiorne, żyjące kościotrupy, obciągnięte zżółkłą, owrzodzoną skórą — lały się z góry strumienie lodowatej wody, a jednocześnie z boków spadały nahaje z rąk blokowych i pijanych oficerów SS. Większość katowanych stworzeń, nie mogac już ustać, wywracała się pod naporem wody i czołgała po płycie, w bajorach wody, na kształt niesamowitych płazów w ludzkim ciele. Ze skór tych płazów spływały strugi krwi, która mieszała się z wodą, tworząc brudno czerwone kałuże.

Ludzie wyli.

Pierwszy raz w życiu usłyszałem wówczas wycie człowieka. Daj mi Boże do końca życia słuchać nieustannego wycia psa, czy szakala, bylebym tylko nie słyszał wycia ludzkiego.

Ci, co nie wyli, to już wyć nie mogli. Utopili się we własnej krwi, pomieszanej z wodą. Leżeli nieruchomo na betonowej płycie lub drgali na niej niczem żaby pod srebrnym lancetem padającego strumienia.

Kilkunastu oficerów SS, ubranych w długie,

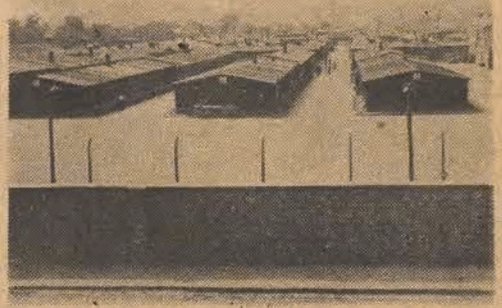


Kamieniołomy w Gusen, gdzie zamęczono tysiące Polaków.

wspaniałe płaszcze skórzane niektórzy ponad to w peleryny (deszcz bowiem lał o tym czasie) — prześcigali sie wzajemnie w masakrowaniu wyjących nagich istot. Wyrywali sobie z rąk bykowce i cięli nimi na lewo i prawo, zanosząc się od szatańskiego śmiechu, waląc z uciechy rękami po udach. Przyszli pewnie w ten sposób uczcić któreś z hitlerowskich zwycięstw nad Armią Czerwoną, bo tym razem stawił się na miejscu kaźni cały sztab obozowy z samym lagerführerem, hauptsturmführerem Chmielewskim na czele.

A ci, na betonowej płycie, to byli inwalidzi.

Latem 1941-go roku kierownictwo obozu kazało się zgłosić u pisarzy blokowych tym wszystkim więźniom, którzy są chorzy, względnie czują się niezdolni do pracy. Zapowiedziano przy tym, że więźniów tych zgrupuje się w osobnym bloku po to, aby mieli lżejszą pracę i lepsze odżywienie. Zgłosiło się kilkaset osób, w tym pewna ilość takich,



Widok na obóz w Gusen. Baraki koncertów i śmierci.

którzy jeszcze jako tako się trzymali, liczyli jednak na zapowiedziane lepsze warunki.

Istotnie, utworzono nowy blok, 30-ty, nazwany blokiem inwalidów. Owe lepsze warunki polegały na tym, że inwalidom... zmniejszono racje żywnościowe, a jednocześnie popędzono ich do... kamieniołomów. Na czele zaś bloku stanął człowiek, który chyba tylko przez jakąś tragiczną pomyłkę Opatrzności przyszedł na świat w kształcie ludzkim. Był to istotnie potwór w ludzkim ciele.

Inwalidzi topnieli w przyśpieszonym tempie. Dla władz obozowych było ono jednak zbyt powolnym. To też blokowy „trzydziestki" został wyposażony we wszystkie możliwe prerogatywy.

I rozpoczęły się owe, krew ścinające w żyłach, kąpiele. Każdego dnia — a były to zimne, deszczowe dnie październikowe — pędzono nagich inwalidów pod prysznic. Za każdym razem trzymano ich na betonowej płycie pod śmiercionośnym ukropem przez pół godziny.

Metodę tę udoskonalono później w ten sposób, że urządzano owe kąpiele dla inwalidów kilka razy dziennie.

Z poza okien swoich baraków patrzyliśmy każdego dnia na procesję, jaka jeszcze nie szła po tej ziemi. Patrzyliśmy na drogę krzyżową...

Na wyjącym wichrze, pod wiatr pomieszany z deszczem, wlokła się uliczkami obozu kolumna wyjących, nagich stworzeń. „Aaa... aaa..., o Jezu, Jezu, aaa... aaa..., o Jezu, Jezu, aaa... Booożeee... Booożeee..." — najstraszliwsze, wydobyte z samych trzewi konającego człowieczeństwa, jęki wtórowały procesji powracających z kaźni inwalidów. Niektórzy z nich szli na czworakach resztką zamierających sił, nieprzytomnych nieśli przytomni, a wszystkich razem popędzali sakramentalnym los, los... i kijami opaśli kapowie z blokowym 30-ki na czele.

Te oczy, oczy dobijanych! Przerażone, oszalałe, szklane z bólu i krwią nabiegłe — żebrzące miłosierdzia na tym najbardziej niemiłosiernym ze światów.

I choć nie mieli cierniowych koron na głowie, pasemka krwi spływały po skroniach i policzkach, po piersiach i udach.

A myśmy stali przy oknach niemi, zastygli, znieruchomiali. Każdy z nas mógł za tydzień, dwa odbyć tę sama drogę, każdego z nas, o ile tylko choroba zwaliłaby go z nóg, czekało to samo. **To samo.**

Staliśmy przy oknach, niemi świadkowie wspólnej męki braci naszych, Polaków i Hiszpanów.

Ów wieczór, kiedy mię przyjaciel wywołał z „dwójki", grał mi będzie do końca życia potwornym swoim dysonansem.

Nazbyt bowiem raptownie wyrwano mię wówczas z jednego koncertu na drugi. Z koncertu umiłowanych, pełnych słodyczy i ciepła, melodii polskich — na koncert germańskich życzeń. Na koncert, w którym wycie ludzkie i wyjący wiatr, szum lodowatych natrysków i szum padającego deszczu, plusk padających do kałuży ciał i plusk razów, spadających na mokre, lepkie ciała, szyderczy śmiech oficerów i szatańskie ryki blokowych — tworzyły jedną niesamowitą, dantejską symfonię.

Koncert na betonowej płycie, w ponury wieczór jesienny. Bez świadków, bez słuchaczy, którym wstępu zakazano. Bez gwiazd nawet na niebie.

Kiedy w pół godziny po tym leżałem już na swoim sienniku, długo, długo patrzyłem w ciemność szeroko rozwartymi oczyma.

I przyszło mi wtedy na myśl:

Czy którykolwiek z tych ludzi, pędzących przed wojną mniej lub więcej spokojny, mniej lub więcej szczęśliwy żywot w Krakowie, Katowicach, Warszawie, Poznaniu, Toruniu, czy w dalekiej słonecznej Barcelonie, Walencji, Madrycie — mógł kiedykolwiek, choćby w chwili najczarniejszego pesymizmu, przewidzieć taki oto koniec ziemskiego swego żywota?

Czy mógł odgadnąć, że za to jedynie, iż jest **Polakiem**, względnie **„czerwonym" Hiszpanem** — spotka go taki oto los?

Listy

Do Redakcji „Wsi".

Szanowny Ob. Redaktorze!

Nie mogąc załączonego niżej listu skierować bezpośrednio do „Kuźnicy", bo mi moja gospodyni dla ukręcenia tutki urwała róg stronicy, na której umieszczony jest adres redakcji tego pisma — uprzejmie proszę o przekazanie go Ob. Żółkiewskiemu.

Jeśli ze względu na sprawę zechce Obywatel list ten opublikować — nie mam nic przeciwko temu.

Łączę wyrazy szacunku

O. Quienquiera S. J.

Do Redakcji „Kuźnicy"

Szanowny Ob. Redaktorze!

Z prawdziwym zainteresowaniem czytując „Kuźnicę", boć to zawsze, Obywatelu Dobrodzieju, dobra gimnastyka umysłowa dla człowieka na prowincji i nauczyciela języków obcych oraz logiki, z żalem musiałem odłożyć ostatni jej numer, jaki rąk moich doszedł.

Bez ogródek powiem, że przyczyną mego żalu do Redakcji stał się artykuł Ryszarda Matuszewskiego: „Autentyzm, autentyści i co z tego wynika".

Autentystą co prawda nie jestem, z ręką na sercu to mówię — nie z obawy, że na tej podstawie jakiś prawnik zechce mi wytoczyć proces o przynależność do NSZ, ruralizm w sztuce o tyle mnie interesuje, o ile to jest sztuka mięsa, ale zasad logiki, której wykładam, obrażać nie pozwolę.

Otóż jak sprawa sie przedstawia?

Lichański zakres pojęcia **autentyzm**, formalnie nieustalonego i spornego, zacieśnił do sensu odpowiadającego „realizmowi humanistycznemu" t. zn. stosując krytykę **inspirującą**, żądał od pisarza mądrości z wewnętrznym pokryciem, a nie tylko wiszącej na końcu języka czy pióra. Chciał, by pisarz był odpowiedzialny za to co pisze, jak L. Aragon, którego utworom towarzyszył faktyczny udział w Ruchu Oporu.

Na mój gust jest to może zbyt surowy i odrobinę nieliteracki postulat moralny, ale mam wrażenie, że tkwi w tym coś ze współczesnego zamówienia społecznego.

Matuszewski zakres pojęcia stosowanego przez Lichańskiego rozszerzył dowolnie. Dodał antyurbanizm i antymaszynizm, elementy rodzime, antyracjonalizm i szereg jeszcze innych rzeczy (Lichański do tego się nie przyznaje) — za które, o ile się orientuję — powinno się siedzieć, następnie znalazł autentystę Frasika, który jak ulał pasuje do tego rozszerzonego dowolnie pojęcia autentyzmu i... ciach! inspirację sugerującą ścisły związek literatury z życiem diabli wzięli!

O realizmie pisano także źle. Realistą był Balzak, o którym pisał gdzieś bodajże Boy, (ob. Kott będzie o tym najlepiej wiedział), że hołdował smaczkom właściwym romansom brukowym, że — obecnym językiem mówiąc — sporo w jego powieściach mitologii skandalu: literackiego, politycznego czy erotycznego.

Czyżby to kładło realizm „na twarz"?

Mógłbym wprawdzie nie zawracać głowy Obywatelowi Redaktorowi, bo mnie tu pociesza nasz młody mecenas, który zna podobno Matuszewskiego ze studiów, że przecież gorzej byłoby, gdyby autor **„Autentyzmu, autentystów i co z tego wynika"** nie zmienił zawodu i został prokuratorem i gdyby nie to, że łączy mnie z Obywatelem sentyment do mistrza Kotarbińskiego.

Wyrazy szacunku łączę

O. Quienquiera S. J.

P.S. Byłbym zapomniał, a może to przydać sie Ob. Matuszewskiemu: Bolesław Prus — także realista — cenił bardzo wysoko Eugeniusza Sue.

OD REDAKCJI

Zawiadamiamy naszych prenumeratorów i czytelników, że w związku z przejściem tyg. „Wieś" spod administracji „Czytelnika" na administrację własną, otworzyliśmy własne konto w PKO

Łódź. VII - 1080,

na które prosimy wnosić wszelkie wpłaty.

Prenumerata „Wsi" wynosi zł 25 miesięcznie, zł. 75 kwartalnie i zł 150 półrocznie.

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król. **Komitet redakcyjny:** Kałużyński Zygmunt, Morton Józef, Ozga - Michalski Józef, Piętak Stanisław. **Komitet terenowy:** Frasik Józef Andrzej, Nędza - Kubiniec Stanisław.

Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje redakcja tyg. „Wieś", Łódź, Piotrkowska 96, I p., tel. 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, ul. Żwirki 2. D—01605